

Nr 2 (105)

2026



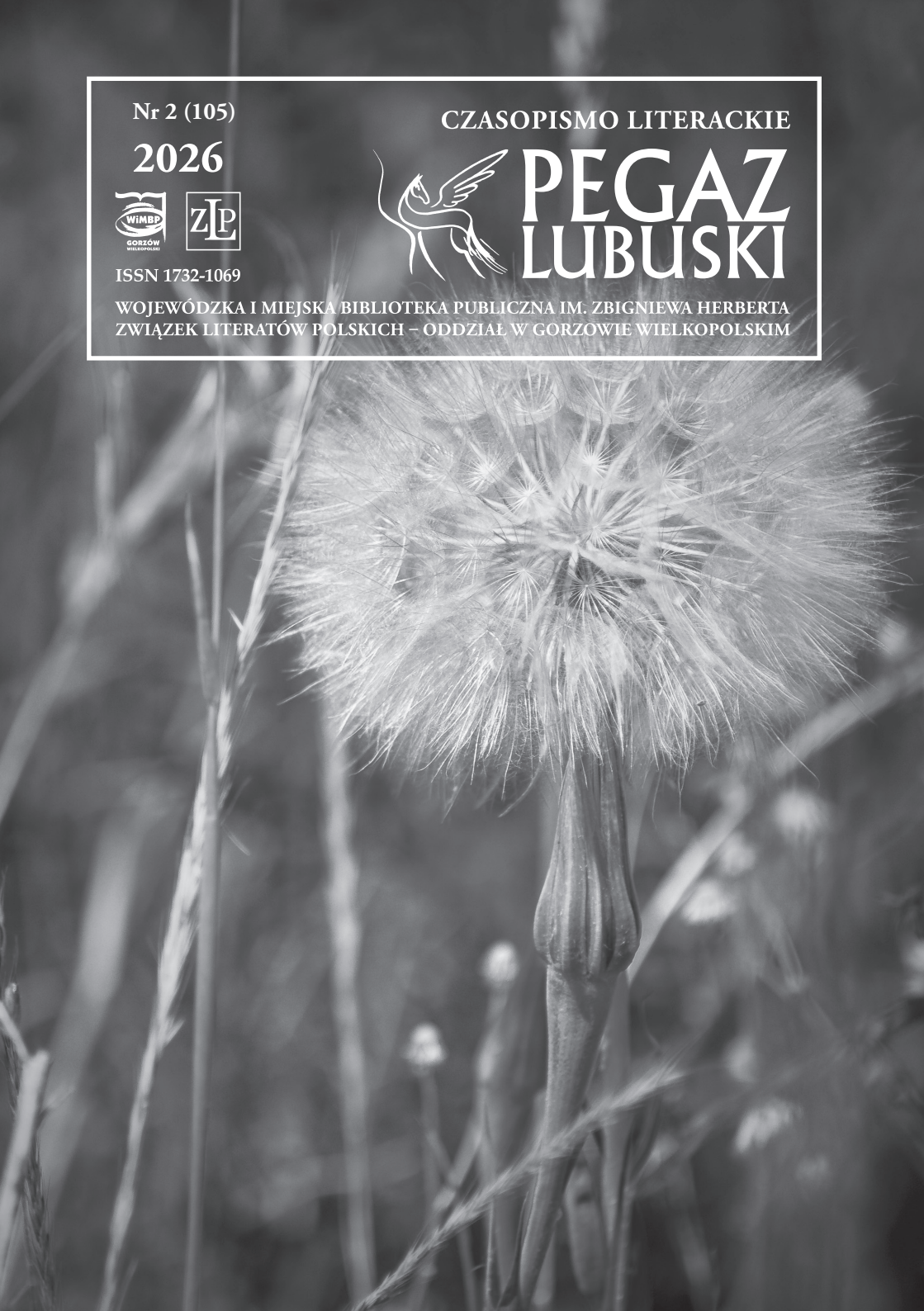
ISSN 1732-1069

CZASOPISMO LITERACKIE



PEGAZ
LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZÓWIE WIELKOPOLSKIM





CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 2 (105)

2026

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Magdalena Kubacka, Milenia Niedziółka, Gabriela Rodak

Druk: Sonar Sp. z o.o.

ul. Kostrzyńska 89

66-400 Gorzów Wielkopolski

Na okładce i w numerze prezentujemy fotografie Waldemara Gwizdały

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

ŚMIESZNOSTKI

Powodują uśmiech (lub uśmieszek irytacji). Czasem męczą lub uwierają. Często pomagają przetrwać, dać życiu rytm, okiełznać strach, rozładować napiętą sytuację. Śmieszności – nieistotne (pozornie) drobiazgi, z których składa się codzienność. Herbata zawsze mieszana w prawą stronę pięć razy, sok pity na siedem łyčzków, wyjście z domu poprzedzone rytualnym dociskaniem klamki, by sprawdzić, czy drzwi aby na pewno są zamknięte. To charakterystyczne słówko wrzucane do co drugiego zdania, przeciągnięcie dłoni po włosach...

To także małe radości. Aby je docenić, musisz się zatrzymać. Poczuć. Dać się porwać chwili. Co wtedy widzisz? Co cię uśmiesza? Co pomaga? Jakie kadry zostają pod powiekami?

Śmieszności ratują twój świat (mój też!) przed niezdolną powagą. Są lustrem, w którym możesz zobaczyć własne niedoskonałości i ludzkie przywary. Oswoic je i – być może – nawet pokochać.

A potem to opisać.

Agnieszka Moskaluk
Redaktorka naczelna „Pegaza Lubuskiego”

TWÓRCZE UDRĘKI

Zbigniew Witostawski

*Trudno jest dziś napisać rzecz zupełnie nową.
Sądzisz, żeś jest poetą albo prozaikiem,
piszesz, nie wiesz, że wcześniej pisał słowo w słowo,
ktoś inny. I tak było z moim limerykiem:*

Nałogowy bibliofil mieszkający w Gdyni
kiedy kartki przewracał, palec sobie ślinił,
poza tym raczej pościł,
a za dolegliwości
kiepski smak literacki swój winił.

*Pomysł przyszedł mi nocą, zapisałem z rana,
w południe zaś znalazłem cytaty z mistrza Jana:*

Gościu, weź w ręce księgę, a poczytaj sobie
Nie dojdzie cię tu nuda, przyrzekam ja tobie
Choć i sto kart obrócisz nim słońca promienie
Rzucą na rzędy liter rozstrzelane cienie.
Jeno zawsze pamiętaj – jest cnotą niemata
Aby palca nie ślinić kartę przewracając
Albowiem tym ślinieniem sprawić możesz snadnie,
Że księga, jako i ty sam, na zdrowiu zapadnie.

*A dnia następnego, już przy jajecznicy,
żona zamiast pocieszyć, (wiem, dobrze mi życzy)
– Czytałam coś takiego – mówi pełna troski –
no tej... Jasnorzewskiej czy też Pawlikowskiej?*

Powiedziałam ci, kiedy książkę czytasz,
nie obśliniaj każdego narożnika,
przewróć chociaż jedną kartkę suchą ręką,
zdrowiej jest, doprawdy nic trudnego –
tak tak tak tak tak tak tak tak tak tak.

Wciąż to robisz. Uparcie i skrycie.
Ślinisz palec czytając o zmroku...
Przecież to skraca ci życie!
Sam mówicieś przeszłego roku...

*W panice zacząłem przeglądać tomiki,
tomy wierszy zebranych oraz antologie...
Dzień cały ryłem, tak jak ryją dziki,
każdy poeta był mi (potencjalnym) wrogiem.*

W czytelnianym zaciszu, przed ciekawym wzrokiem
Zastłonięty przez pełne poezji regały
Jeden po drugim czytał tomiki, co stały
Jak maliny pod czujnym ogrodnika okiem.

I nie wiem, jak się stało, w którym okamgnieniu,
Że dotknął mokrą wargą palca, palcem czoła
Kolejną stronę książki przewrócił w skupieniu.
Regał pełen poezji trwał wciąż dookoła.

*Co? maliny? więc sięgam po nalewkę z malin,
mówią, że dobrze robi również na ból głowy,
zawiera bowiem w sobie kwas askorbinowy...
Zobaczmy, co tam inni jeszcze napisali.*

Nam czytać nie kazano. Wstąpiłem do działu
Poezji i spojrzałem do końca regału.
Książek różnych rozmiarów ciągną się szeregi,
A kartki mają brudne narożników brzegi.
Widziałem czytelnika; – czytał, potem śliną
Palec zwilżył i stronę jak ptak skrzydło zwinął.
Rozlewa się po skrzydle ośliniona rota
Wielką pożółkłą plamą, jako lawa błota...

*On też? Może za nim również inni wieszczę?
Muszę nalewki odrobinę jeszcze...
Może by tak sprawdzić, co tam u Norwida?
No dobrze, jeszcze łyczek – na pewno się przyda.*

Do kraju tego, gdzie palca nie ślinią
Czytając księgi przez uszanowanie
Stron nie uświnią...

Tęskno mi Panie...

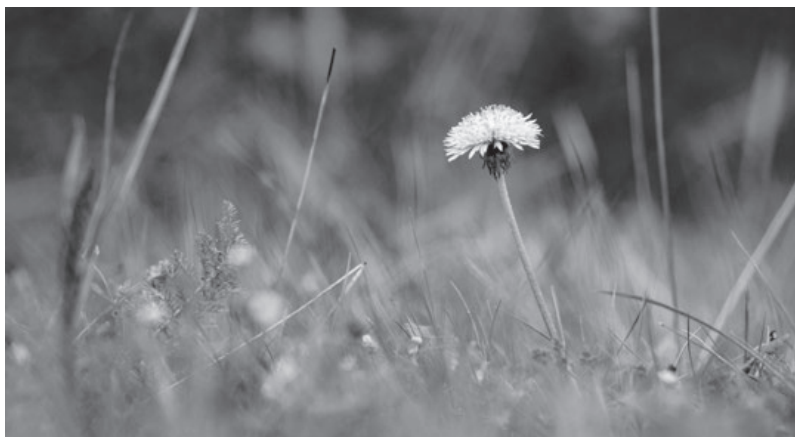
*Dość już, dosyć, nie chcę więcej
nie chcę więcej ani słowa,
choć z emocji drżą mi ręce,
spróbuję zacząć od nowa.*

Pewien pan z Gdyni Chylonii
raz przed panią swą duszę odstończył.
Pani była agentką,
więc wychłódko mu prędko,
teraz biedak od pań raczej stroni.

*Czy to aby twórcze, moje?
Pomyśleć nawet się boję...*

Za wykorzystanie, niekoniecznie wiernie przytoczonych fragmentów utworów serdecznie przepraszam (w kolejności pojawiania się): Jana Kochanowskiego, Marię Pawlikowską-Jasnorzewską, Bolesława Leśmiana, Adama Mickiewicza, Cypriana Kamila Norwida, Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

ZBIGNIEW WITOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. w kolejnych edycjach Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Grossa w Gorzowie.



NIE CAŁKIEM POWAŻNIE O ŚMIECHU

Janina Jurgowiak

Na początku było Słowo. Koniecznie wielką literą, bo Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo. Zgoda, ale może w wymiarze kosmicznym – w wymiarze jednostkowym na początku był krzyk i uśmiech. Uśmiech zdecydowanie poprzedzał słowo. Nakarmiony maluszek uśmiecha się przez sen, a na słowo trzeba długo czekać. Można przypuszczać, że śmiech czy tylko uśmiech jest nam dany jako naturalny stan – jak oddech, głód, pragnienie. Nawet tży pojawiają się później. Jeśli człowiek w ogóle się nie śmieje, to nie jest to zwyczajne ponuractwo, to ciężka choroba psychiczna wymagająca leczenia.

Nie wiem, dlaczego nie trafiłam na poważne opracowania na temat śmiechu. Nigdy też żaden lekarz nie zapytał mnie, jak często się śmieję. To poważne niedopatrzenie. Wiemy, że śmiech leczy, znamy już taki termin jak śmiechoterapia. Słyszałam taką anegdotę...

Ale najpierw wprowadzenie. Powszechnie wiadomo, że podstawą tradycyjnego stroju szkockiego jest kilt – sięgający do kolan pas wełnianej tkaniny w szkocką kratę, noszony przez mężczyzn zgodnie z rygorystycznymi przepisami. Prowadzony jest od lewego boku przodem do prawego, tyłem znów do lewego i ponownie do prawego – czyli z przodu tkanina jest podwójna; wisi tam jeszcze sporan – niewtajemniczeni mówią „torebka”. Jednym słowem, przód jest dobrze chroniony, ale pod kiltem – nic, zero bielizny.

Otóż podczas jednej z bitew (a trzeba pamiętać, że Szkoci przez stulecia wojowali z Anglikami) dwie armie stanęły naprzeciw siebie. Nagle szkocki żołnierz wykonał zwrot w tył, głęboki skłon, kilty podrzucając na plecy. Zaskoczeni Anglicy gruchnęli tak niepowstrzymanym śmiechem, że nie byli w stanie napiąć łuków. Przegrali tę bitwę.

Tak oto śmiech rozbija nie tylko słowną agresję.

Śmiech jest relaksem. Śmiejemy się z niewyszukanych, czasem prostackich, ale też z wyrafinowanych żartów. Cenimy sobie komizm postaci, sytuacji, grę słów. Celowała w tym nasza wspaniąta, niedościgniona w żartach noblistka Wisława Szymborska. Te jej moskaliki, lepiej, odwódki, jaroszady, rajzefiberki, epitafia to prawdziwa apteka pełna leków na smutki.

Rej pisał figliki, ośmiowersowe wierszyki oparte na obiegowych dowcipach, które dziś potocznie nazywamy kawałami. Kochanowski cenił sobie fraszki, a po nim sypnęło i sypie się do dziś. Nawet nasza Biblioteka ogłasza co roku konkurs na fraszkę.

Śmiech to zdrowie.

Brzmi to banalnie, ale to prawda.

Anegdota pomaga przetrwać ciężkie chwile, okupacja niemiecka miała swoje żarciki, stalinizm swoje, dziś także śmiejemy się z głupot życia codziennego. Humor, satyra, anegdota, dowcip, kawał – to pojęcia, które nakładają się na siebie, ewoluują, rozwijają się z wiekiem człowieka, z jego dorastaniem i dostrajają się do jego osobowości. Są dowcipy eleganckie i prostackie, różne w różnych środowiskach: literackie, szkolne, polityczne, studenckie, żołnierskie, krążące wśród wodniaków i lotników. Bez dowcipu i śmiesznotek życie byłoby nie do wytrzymania.

Jednak trzeba pamiętać, że śmiech też zabija. Potężna i groźna to broń. Istnieje przecież zjadliwa, nienawistna, agresywna satyra, która niszczy, podli, nie oszczędza, szczuje i szydzi.

Zostanemy raczej przy niewinnych żartach. Miał rację Ignacy Krasicki, gdy pisał te słowa:

I śmiech niekiedy może być nauką, kiedy się z przywar, nie z osób natrzęsa (...); zbawienny, kiedy taje, lecz nie kąsa.

I jeszcze:

Szanujemy mądrych, przykładnych, chwalebnych, śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych.

To może na zakończenie jakiś żart? Z serii małżeńskich:

- Kiedy wychodziłam za ciebie, myślałam, że jesteś odważnym mężczyzną!
- Nic dziwnego. Wszyscy mi to wtedy mówili.

JANINA JURGOWIAK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopismach i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydała zbiór wierszy *Odroczenie*.



Z CYKLU W RAJSKIM OGRODZIE

Maria Borch

samosiejko
pniesz się wysoko
wyciągasz
gałązki do słońca

wydano wyrok
na ciebie
zawłaszczasz tory
nie zachowując

dystansu od
pociągu
do życia

temida
pragnęła dać serce

dała cięta
straciła wagę

stała się lekka
jak piórko

sfrunęła
z paragrafów

poniosło ją
w siną dal

uchwały i rozporządzenia
jako koła ratunkowe
dla tonących
poglądów

jak drzewa odarte
z kory
umierają stojąc
w sztywności kręgosłupa

targowisko poglądów
i idei oferuje

fantazję alchemika
miksturę z intymności
kiszonki z życiorysów
konserwy z erotycznych doznań
papryczki chili bez skrupułów
kogel mogel z jaj
pękających zadufaniem
farmazonów z nadętych karków
zgrillowane idee
w zorganizowanym chaosie
oraz pic z pijarem

pragniemy
dotrzeć do głębi

zanurzyć się
w oceanie

unikając
walki z falami

grzęźniemy
w płyćźnie

słowa
słowa...
erupcja słów
tworzy gęstą magmę
sptywa
nikczemności lawą

zamilkłam
jak Pompeje

z żabiej perspektywy
nie potrafi
ocenić
własnego potożenia

przyklejona
do ziemi
jak magnez
do metalu

miota się
z grawitacją

MARIA BORCZ: poetka, pisarka, członkini RSTK. Debiutowała tomikiem wierszy *Tęczowa zabawa* (2007), kolejne tomiki to: *Najeżona oczywistość* (2009), *Gałązka jaśminu* (2010), *Bidul* (2011), *Z kałuży miasta* (2012), *Spozieleni* (2014), *Światłocienie* (2014), *Zabłąkani we mgle* (2015), *Duchowy kanibalizm* (2017), *W hotelach świata* (2018), *Mikrochaos* (2016) i *W gąszczu niebieskich migdałów* (2022). W 2023 roku ukazał się zbiór wierszy *W putapce miejsca i czasu*.



#404 OBJECT NOT FOUND

Piotr Biegasiewicz

Tryb roboczy zamiast wstępu

Ten tekst nie robi wejścia. On się bootuje. Bez ceremonii i bez zdania, które miałyby ambicję być bramą. Jak proces odpalany w tle dokładnie wtedy, gdy jeszcze wydaje się, że to człowiek naciska przycisk. Jest drobny lag, ledwie wyczuwalny, ale wystarczający, by zdradzić, że płynność bywa tylko umową. Nie cechą systemu.

Mysł ładuje się częściowo, jak strona na słabym wi-fi. Coś już widać, coś doczytuje się po kablu, który udaje światłowód, a coś znika po drodze, bo priorytety zostały przedstawione i nikt nie puścił changeloga. Cursor miga odrobinę za długo, jakby testował, czy czas ma jeszcze funkcję operacyjną, czy został zdegradowany do animacji.

Issue nie powstaje, bo dashboard świeci na zielono. A zielone oznacza tylko tyle, że problem nie mieści się w polu widzenia metryk. Soft warning przechodzi jako cecha. Bug dostaje etykietę i status znany, czyli bezpieczny. Wyjątek łąduje do monitorowania, co w praktyce oznacza, że zostaje elegancko odsunięty poza uwagę.

Pisanie zaczyna się tutaj nie jako plan, lecz jako reakcja systemu na segfault pamięci serca. Coś odwołało się do adresu, który uchodził za stabilny, a jednak zwrócił błąd. Proces nie pada. On tylko przestaje udawać niezawodność. Awaria domaga się restartu. Segfault domaga się wglądu.

Ton pozostaje spokojny, ale jest to spokój po update'cie, który szedł pomyślnie wyłącznie w sensie raportowym. Interfejs wygląda znajomo, reakcje są inne. Skróty przestają działać. Oczywiście tracą przezroczystość. To jeszcze nie teza. To konfiguracja środowiska wykonawczego.

Architektura bez dokumentacji

Ciało nie jest projektem greenfield. Nie powstało na czystej kartce i nie ma jednego repo, w którym leży prawda o założeniach. To kod legacy pisany przez wielu devów, w różnych epokach i pod różne wymagania biznesowe, z poprawkami nanoszonymi w pośpiechu, bez pełnych testów regresji. Każda generacja dopisała swoje, rzadko usuwając stare linijki. System działa, ale nikt nie jest do końca pewien, dlaczego.

DNA pełni rolę source kodu, do którego teoretycznie jest dostęp, ale którego nikt nie czyta w całości. Za długie, za gęste, z komentarzami, które straciły kontekst. Wiadomo tylko, że gdzieś są pętle, które nie powinny się zapętlać, i warunki brzegowe, które czasem są ignorowane. Zamiast jednej architektury jest zestaw obejść. Workaround na workaroundzie, łątka na łątce, a kompromis, który miał być tymczasowy, z czasem awansuje na fundament.

Biologia działa jak kompilator o zmiennej tolerancji błędów. Czasem build przechodzi gładko i trafia na produkcję bez ostrzeżeń. Czasem sypie warningami, które wszyscy ignorują, bo system nadal się uruchamia. A czasem coś nie kompiluje się wcale, choć jeszcze wczoraj działało, bo w tle zaszła zmiana zależności i nikt nie ogarnął kompatybilności wstecznej.

Zdrowie funkcjonuje tu jak feature w wersji trial. Działa, ale z ograniczeniami. Bez gwarancji, bez wsparcia, z licencją odnawianą codziennie na niejasnych zasadach. Każdy dzień bez crasha wygląda jak sukces operacyjny, a nie norma.

Język obsługuje to wszystko jako API między doświadczeniem a logiem. Nie opisuje rzeczy wprost, raczej mapuje je na coś, co da się zapisać. Każde zdanie jest wywołaniem funkcji, która coś zwraca, ale niemal zawsze generuje side effecty. Coś uruchamia się w tle, coś zostaje w pamięci, coś innego przestaje działać jak wcześniej.

Wirus, który pisze za nas

Twórczość rzadko przypomina akt intencjonalny. Częściej działa jak infekcja. Polimorficzny wirus, który nie niszczy systemu, tylko przejmując część zasobów, zmienia sygnaturę przy każdym uruchomieniu i wymyka się prostym definicjom. Nie da się go włączyć ani wyłączyć. Pojawia się tam, gdzie napięcie przekracza próg tolerancji i zaczyna działać, zanim zostanie nazwane.

Poezja w tym układzie nie jest wyborem estetycznym, tylko skutkiem overloadu. Bufory się przepętniają, język reaguje w sposób nieprzewidziany w specyfikacji. Wersy pojawiają się jak komunikaty diagnostyczne, skrócone, fragmentaryczne, czasem dziwnie trafne. Nie dlatego, że są piękne. Dlatego, że coś przestało się mieścić.

Sny zachowują się jak dane tymczasowe. Ładują się w nocy w katalogu, którego lokalizacji nikt nie pamięta, a rano zostają częściowo nadpisane przy restarcie świadomości. To, co zostaje, bywa zniekształcone, ale wystarcza, by cały dzień pracować z lekkim opóźnieniem.

Autor przestaje być centralnym sterownikiem. Staje się devicem peryferyjnym, interfejsem input-output. Coś wchodzi jako input, coś wychodzi jako output, a zgodność nie jest gwarantowana. System dodaje poprawki, skróty i błędy zaokrągleń. Pisanie jest IO obciążonym stratą. Zawsze coś ginie w transferze. Zawsze coś pojawia się dodatkowo.

Glitch nie jest tu usterką. Jest cechą działania w warunkach realnych, nie w sterylnym środowisku testowym. Niedoskonałość bywa jedynym wiarygodnym sygnałem, że to się naprawę dzieje.

Ironia polega na braku centralnego sterowania. Procesy uruchamiają się same, wchodzą ze sobą w kolizję, czasem się blokują, czasem wzmacniają. Autor nie znika. Znosi iluzję kontroli. I to wystarcza.

Oryginał nie odpowiada

Kopia nie jest już odstępstwem od normy. Jest normą. Domyślnym trybem istnienia, w którym wtórność nie udaje pierwotności, tylko przejmując funkcję operacyjną. Oryginał pozostaje w tle jako punkt odniesienia, ale coraz częściej działa jak snapshot, który dawno timeoutował. Da się go obejrzeć, jeśli system na to pozwala, ale nie da się go przywrócić do stanu aktywnego.

Poruszamy się więc nie między oryginałem a kopią, tylko między wersjami. Autentyczność zostaje zastąpiona przez kontrolę konfliktów. Zamiast pytania o prawdę pojawia się pytanie o zgodność. Czy to się jeszcze zmerguje. Czy nie rozbije builda. Czy da się to wypchnąć na produkcję bez kosztów reputacyjnych.

Widać to w najprostszych rzeczach. Foldery nazywają się final, final2, final_ostatyczne, final_poprawione, jakby nazwa miała domknąć proces, który dawno wymknął się spod kontroli. Te etykiety nie porządkują. One uspokajają. Udają, że coś zostało zakończone, choć system nadal jest w trybie roboczym.

Wolność nie znika, tylko zmienia naturę. Przestaje być kwestią odwagi, staje się kwestią uprawnień. Co wolno powiedzieć zależy od scope'u. Od tego, czy wypowiedź mieści się w sandboksie, czy próbuje wyjść poza niego. Gdy przekracza granice, pojawia się access denied. Nie jako zakaz, tylko jako komunikat systemowy, neutralny i bezosobowy.

Decyzje zapisują się automatycznie w state systemu. Coś zostaje wypchnięte. Coś znika. Coś trafia do archiwum. Nie dlatego, że ktoś tak chciał, tylko dlatego, że taka jest logika wersjonowania. Ontologia współczesności opiera się nie na trwałości, tylko na aktualności. Nie na źródle, tylko na tym, co właśnie wyszło na leada i jeszcze się nie wykrzaczyło.

Życie w while(true)

Strumień nie zaczyna się ani nie kończy. Działa w pętli, która nie przewiduje warunku wyjścia. While true nie jest tu konstrukcją programistyczną, tylko opisem codzienności. Newsfeed odświeża się sam, nawet wtedy, gdy nikt go o to nie prosi. Kolejne elementy pojawiają się nie dlatego, że są potrzebne, tylko dlatego, że pętla nie lubi ciszy.

W tym przepływie sens działa jak payload o niskim priorytecie. Dociera, o ile nie zostanie wyparte przez coś lepszego, pilniejszego, bardziej klikalnego. Mignie i znika pod kolejnym requestem. Nie zapisuje się w pamięci długiej, bo system nie został zaprojektowany do przechowywania sensu. Jest zaprojektowany do podtrzymywania ruchu.

Tożsamość zachowuje się jak ticket w backlogu. Ma numer, status i krótkie streszczenie, ale nikt nie obiecuje, że trafi do sprintu. Bywa przesuwana, zamykana bez rozwiązania, oznaczana jako duplikat. Istnieje w trybie oczekiwania. Wersja robocza samego siebie.

Emocje nie znikają, tylko zmieniają obieg. Są kolejkowane async, wywoływane w nieprzewidywalnym momencie, często z opóźnieniem. Reakcja przychodzi po czasie, już do innego bodźca, już w innym kontekście. System nie gwarantuje spójności. System gwarantuje ciągłość.

Scroll przestaje być ruchem palca. Staje się gestem metafizycznym. Powtarzalna czynność, która nie prowadzi do celu, ale daje iluzję bycia w drodze. Czas nie płynie liniowo, tylko warstwowo. Minuty sklejają się w powierzchnię, po której przesuwają się treści, gotowe zastąpić poprzednie.

Modlitwa działa tu jak request bez ACK. Zostaje wysłana, ale nie wraca potwierdzenie odbioru. Nie wiadomo, czy została przetworzona, czy trafiła do kolejki, czy została odrzucona jako niezgodna z protokołem. Cisza nie jest odpowiedzią. Jest stanem domyślnym sieci, która ma za dużo ruchu.

Algorytm pełni rolę PM bez empatii. Optymalizuje przepływ, pilnuje engagementu, dba o retencję. Nie pyta, co jest ważne. Pyta, co zatrzyma uwagę na dłużej. Rozproszenie nie jest w tej logice problemem. Jest modelem działania.

Dashboard zamiast sensu

Język zarządzania nie powstał po to, by wyjaśniać. Jego zadaniem jest stabilizować przepływ. Działa jak middleware, które przechwytuje narrację, zanim stanie się niebezpiecznie konkretna. Reklama, raport, prezentacja i mail do wszystkich korzystają z tego samego dialektu. Wszystko brzmi gładko. Znaczenie zostaje rozproszone na etapie przetwarzania.

Reklama nie przerywa opowieści. Wchodzi pomiędzy zdania i podaje gotowe interpretacje. Nie trzeba myśleć, wystarczy konsumować komunikat. Hasztagi działają jak komentarze w kodzie. Nie zmieniają logiki wykonania, ale nadają pozór porządku i intencjonalności. Uspokajają, że ktoś nad tym panuje.

Zamiast sensu pojawiają się dashboardy. Wykresy, procenty, strzałki. Nie odpowiadają na pytanie: dlaczego, tylko: czy mieścimy się w normie. To, co mierzalne, zostaje uznane za realne. To, co wymyka się metrykom, wypada poza kadr jak błąd wizualizacji.

SLA okazuje się ważniejsze niż sens. Istotne jest, by odpowiedź przyszła na czas, niekoniecznie, by była trafna. Liczy się reakcja, nie refleksja. KPI przejmują rolę celu, stają się ersatzem sensu, który da się komunikować i aktualizować bez ryzyka. Gdy wskaźniki są zielone, uznaje się, że wszystko działa zgodnie z planem, nawet jeśli plan był tylko slajdem.

Ironia nie musi być intencją. Pojawia się jako produkt uboczny optymalizacji. Gdy język zostaje wygładzony do neutralności, zaczyna brzmieć absurdalnie sam z siebie. Wszystko jest komunikatem, nic nie jest treścią. Przepływ informacji przechodzi przez tyle warstw, że przestaje pamiętać, po co w ogóle został wysłany.

Refaktor znaczenia

Język nie był projektowany na taki load. Pracuje w trybie ciągłego peak usage'u, bez okien serwisowych i bez obietnicy stabilności. Pęka nie dlatego, że jest słaby, tylko dlatego, że jest używany jednocześnie do wszystkiego. Do opisu, do sprzedaży, do uspokajania, do eskalacji. Jedna fraza ma kilka zadań naraz, jedna metafora działa w wielu kontekstach, a system nie nadąża z alokacją znaczeń.

Najpierw pękają zdania. Potem rozpadają się na frazy, głoski, piksele, skróty. Język zaczyna przypominać interfejs, który próbuje zmieścić zbyt wiele funkcji na jednym ekranie. Zamiast pełnych form pojawiają się akronimy. Zamiast opisu – gest. Zamiast sensu – sygnał. To nie plan uproszczenia. To kompresja.

Ctrl+C Ctrl+V przestaje być techniką. Staje się metodą kulturową. Powtórzenie przestaje być plagiatem, a staje się sposobem uczestnictwa. Teksty krążą, są wycinane z kontekstu i wklejane w nowy, który trwa krócej niż czas potrzebny na jego zrozumienie. Oryginalność traci status cnoty. Liczy się kompatybilność.

Klasyki trafiają do postprodukcji. Cytaty działają jak sample, wyjęte z całości, przefiltrowane, dopasowane do aktualnego bitu. Tradycja nie znika, tylko zmienia format. Działają jak archiwum, z którego korzysta się wybiórczo, czasem bez świadomości pierwotnej struktury. Martwe linki sensu pojawiają się tam, gdzie kiedyś była ciągłość.

W odpowiedzi język nie próbuje się skleić w jedną wielką narrację. Zamiast syntezy pojawia się defragmentacja. Porządkowanie polega na układaniu resztek w konfigurację tymczasową. Patchwork staje się nowym whole. Niespójny, ale funkcjonalny. Zszyty z różnych rejestrów, a jednak działający, bo w tym świecie działają to, co potrafi się przetrząsnąć, zanim zostanie przerwane.

Gdy throughput udaje sens

Prędkość przestała być parametrem technicznym. Została wartością moralną. Szybciej znaczy lepiej. Wolniej budzi podejrzenie. Futurystyczny fetysz speedu opiera się na założeniu, że ruch jest dowodem sensu. Jeśli coś przyspiesza, musi zmierzać dokądś. Jeśli zwalnia, znaczy, że się cofa. W tej logice nie ma miejsca na pytanie o kierunek, bo kierunek wymaga zatrzymania.

W praktyce sprinty następują po sprintach, a droga pozostaje nieruchoma. Zespoły biegają w kółko, przestawiają backlogi, rebalansują priorytety, a system trwa w tym samym stanie, tylko bardziej zmęczony. Zielone wykresy świecą na dashboardach jak znaki jakości. Przepływ rośnie, liczby się zgadzają, a jednak nic się nie przesuwają. Ruch jest intensywny, ale pozorny.

Roadmapa staje się storytellingiem. Opowiada przyszłość, która zaczyna się za następnym kwartałem. Etapy są logiczne, obiecujące, ale nigdy nie nadchodzą

w całości. Zawsze coś zostaje przesunięte, rozbite na mniejsze taski, wchłonięte przez urgent. Mapa nie służy do dotarcia. Służy do utrzymania wrażenia, że droga istnieje.

Development bywa wtedy ruchem pozornym. Wersje zmieniają numery, interfejsy kolory, komunikaty brzmienie, a struktura pozostaje nietknięta. System jest w ciągłej zmianie, która nie narusza tego, co najtrwalsze. Ironia postępu polega na tym, że wystarczy utrzymać throughput, żeby nikt nie zapytał o sens.

Breakpoint

W pewnym momencie nie da się już przyspieszać bez utraty obrazu. System wciąż działa, ale wszystko zaczyna się zlewać w jednolity ruch. Wtedy pojawia się potrzeba zatrzymania. Nie po to, by zakończyć, tylko by zajrzeć w środek. Breakpoint nie jest finalem. Jest przerwaniem ciągłości, które pozwala zobaczyć, co naprawdę pracuje pod spodem.

Wgląd rzadko otwiera się gładko. Często otwiera go bug, drobny i powtarzalny, który wygląda jak usterka do szybkiego obejścia. Tymczasem to właśnie błąd bywa najbogatszym źródłem wiedzy. Nie udaje sensu. Odstania strukturę przez swoją nielogiczność.

W tym miejscu wraca segfault pamięci serca. Ten sam, który odpalił proces na początku. Nie jako dramatyczne pęknięcie, tylko jako sygnał, że coś od dawna działało poza bezpiecznym zakresem. Segfault nie zamyka programu. Zmusza do sprawdzenia tego, co uchodziło za stabilne tylko dlatego, że nigdy nie było testowane.

Obok pojawia się memory leak. Niepozorny, trudny do uchwycenia, ignorowany, bo system jeszcze daje radę. A jednak wyciek pamięci jest dowodem trwania. Znakiem, że nie wszystko da się wyczyścić po zakończeniu taska. Coś zostaje, nawet gdy proces teoretycznie się kończy.

Tu nie ma puenty. Jest stan zawieszenia, w którym wszystko jest gotowe do dalszego działania, ale nic nie uruchamia się automatycznie. Breakpoint działa tylko wtedy, gdy nie próbuje być rozwiązaniem.

System jeszcze oddycha

Nie pojawia się end screen. Żaden komunikat o zakończeniu, żadna plansza z podziękowaniami. Proces nie został ubity. Został przełączony w stan niskiego poboru mocy. System nadal oddycha, tylko ciszej, jakby nie chciał zwracać na siebie uwagi. Silnik pracuje w tle na minimalnych obrotach – wystarczających, by podtrzymać gotowość.

Kontrolki świecą jakby od niechcenia. Nie alarmują, nie uspokajają. Po prostu sygnalizują obecność. To nie są wskaźniki sukcesu ani porażki. To dowód, że coś wciąż pozostaje aktywne. Nie wszystko domknięto. Nie wszystko zapisano w archiwum.

W takim stanie łatwo o odruch naprawy. O chęć szybkiego deployu poprawki, która przywróciłaby pozory stabilności. Tymczasem właśnie teraz warto się wstrzymać. Pozwolić systemowi pobyc w trybie podtrzymania. Zobaczyć, co zostaje, gdy nie dodaje się nowych funkcji.

Tekst nie kończy się definitywnie. Zostaje w RAM-ie. Dostępny, ale nieaktywny, gotowy do ponownego wywołania, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie domaga się uwagi. Po prostu trwa.

```
# save and exit
with open(„state.txt”, „w”) as f:
    f.write(“system in standby mode”)
exit()
```

PIOTR BIEGASIEWICZ: porusza się między filozofią, prawem i ekonomią, traktując je nie jako dyscypliny, lecz jako różne języki opisu tego samego świata. Absolwent UAM w Poznaniu oraz The Open University w Wielkiej Brytanii. Autor książki *Liberalizm w Polsce. 1980–1997* oraz licznych tekstów eseistycznych i literackich. Stały współpracownik „Przeglądu Prawosławnego”. Publikował m.in. w „Twórczości”, „Toposie”, „Tyglu Kultury”, „Forum Akademickim”, „Akcencie”, „Ricie Baum”, „Zeszytach Poetyckich”, „Dzikim Życiu” oraz „Pochodni”. Laureat wielu konkursów literackich. Obecnie pracuje nad doktoratem poświęconym socjologii pracy, badając napięcia między doświadczeniem codziennym a językiem instytucji.



SCHODY DONIKĄD

Jolanta Bilińska

Gorzów Wielkopolski, okolice Parku Siemiradzkiego, 1 kwietnia 2024, rano

Turystka stała u podnóża potężnej betonowej konstrukcji i marszczyła czoło. Trzy szerokie płaszczyzny schodów wspinały się po stoku, przecinając poranek ostrą, zdecydowaną geometrią.

W końcu zwróciła się do przechodzącego mężczyzny:

– Przepraszam pana, dokąd prowadzą te schody?

Feliks spojrzał na nią, potem na stopnie i znów na nią.

– Donikąd.

Turystka zmrużyła oczy, jakby nie rozumiała, czy usłyszała prawdę, czy dowcip.

– Nie musi pan być taki nieuprzejmy.

Obok zatrzymał się starszy pan z psem. Popatrzył na schody, potem na kobietę.

– A dokąd pani chce dojść?

– Donikąd – odpowiedziała trochę zdezorientowana. – Tylko pytam, z ciekawości.

Obaj mężczyźni parsknęli śmiechem.

– No to są właściwe schody – powiedział starszy pan. – To są Schody Donikąd.

Turystka uśmiechnęła się niepewnie.

– Aha... Dziś Prima Aprilis.

Feliks wzruszył ramionami. Starszy pan pogłaskał psa i poszedł dalej.

Schody stały nieruchomo w porannym słońcu. Ciężkie, betonowe i absolutnie przekonane, że mają sens.

* * *

Wrocław, Ratusz, 1 kwietnia 2024, 13:53

Pani Basia poszła do łazienki.

To był błąd.

Wrocek otworzył jedno oko. Potem drugie. Gabinet prezydenta miasta pachniał dokumentami i herbatą, która dawno przestała parować. Stojący na biurku laptop Dell z naklejką „I ♥ WRO” mrugał niebieską diodką. Obok – niebezpiecznie blisko klawiatury – stał kubek z resztką herbaty.

Wrocek ziewnął, ukazując zęby jak małe szpilki. Zeskoczył z parapetu, wskoczył na biurko, z gracją przeszedł się po klawiaturze laptopa. Ogon uniósł się, zatańczył nad klawiaturą i – stuk – trafił kubek. Herbata rozlała się po blacie. Jedna kropla spłynęła prosto do portu USB starej drukarki.

Iskierka. BRZĘK.

Drukarka obudziła się jak głodny smok. Dioda zamrugnęła, a urządzenie zaczęło pluć papierem.

Na każdej kartce widniało:

...

User-Agent: PAW/1.0

Artykuł 4 Wielkiej Karty: SIEW

[Teoria Pierwotności: CZAS generuje PRZESTRZEŃ]

$$\partial^2 \tau / \partial t^2 - c^2 \nabla^2 \tau = 0$$

Status: Nielethalny (chyba)

...

Równanie było krótkie, brutalne i nieuprzejme wobec konwencjonalnej fizyki. Wynikało z niego, że przestrzeń nie jest żadnym podstawowym bytem, tylko czymś, co czas sobie wytwarza po drodze, tak jak urzędy wytwarzają formularze.

Wrocek mrugnął powoli. Ruchem ucha zlokalizował panią Basię rozmawiającą na korytarzu z interesantem. Zeskoczył z biurka. Podszedł do miski. Wyczerpany pracą musiał posilić się chrupkami z kurczaka.

Konsylium, gdzieś poza czasem i przestrzenią

Beata patrzyła na wirtualny ekran i czuła, jak jej awatar powoli traci ostrość na krawędziach. Lata planowania protokołu Siewu. Lata obliczeń, kalibracji, symulacji, bezpieczeństwa, a przede wszystkim czekania na idealne ułożenie planet i odpływów energii, by uświadomić ludzkości, czym tak naprawdę jest Czas.

A wszystko uruchomiło się przedwcześnie, bo na Ziemi kot jest rezydentem miejskiego ratusza.

Otworzyła komunikacyjny kanał ratunkowy prosto do Rady Chronos.

– Mamy przedwczesny Siew! Inicjacja zewnętrzna.

– Kto złamał kody zabezpieczające? – zapytał NODE 4. – Jakaś wroga frakcja z przyszłości?

– Analiza wizualna wskazuje na obiekt klasy *Felis catus*. Waży cztery kilo, ma rude futro i celowo machnął ogonem.

– Kot?!

– Byliśmy naiwni – powiedziała Beata. – To nie jest zwierzę domowe. To wysoce zaawansowana inteligencja steganograficzna. Ukrywają swoje prawdziwe procesory za pomocą mruczenia i wibrysów.

NODE 1 odezwał się syntetycznym głosem. Szmer statyczny brzmiał jak opóźniony kaszel:

– Trwa szacowanie szkód. Błąd lokacji: 61%. Ostrzeżenie. Obiekt oznaczony jako: Gorzów Wielkopolski.

Beata westchnęła.

– Sprawdzaliśmy to dziesięć razy. Zbudowali miasto o nazwie „Gorzów Wielkopolski”, a nie leży ono w Wielkopolsce. Lokalna cywilizacja fałszuje dane terenowe. Proszę mi powiedzieć, jak w takich warunkach ma działać nawigacja kosmiczna.

– Dlaczego strumień Siewu tam trafił?! – zapytał NODE 3.

– Uderzył w główny węzeł regionu – odpowiedziała Beata. – Problem w tym, że oni mają dwie stolice w jednym województwie. System próbował wycelować w tę drugą: w Zieloną Górę.

– Analiza lingwistyczna nazwy wskazuje na masyw górski – wtrącił NODE 2.

– Tak – westchnęła Beata – ale skan topograficzny nie znalazł żadnej góry. System wpadł w panikę obliczeniową, wygenerował korekty i rzucił pakiet Siewu na Gorzów ze względu na kalibrację rzymską.

– Przecież gorzowskich wzgórz jest tylko pięć. Najwyżej pięć i pół wzgórza, jeśli liczyć życzliwie – powiedział byt logiczny, nie kryjąc oburzenia.

– Ale lokalna społeczność ma tak mocną wizję, że wszechświat musiał się z tym pogodzić – cierpliwie tłumaczyła Beata.

– Punkt uderzenia? Konkretny?

– Struktura znana lokalnie jako Arsenał. Nazwa myląca, jak zwykle w tej cywilizacji. Obiekt nie służy celom militarnym. A nieopodal... – Beata powiększyła obraz. Tuż obok majaczyła dziwna betonowa konstrukcja z Parku Siemiradzkiego. – Lokalna architektura. Nazywają to Schodami Donikąd. Ale mi się wydaje, że intuicyjnie uznali Czas za ważniejszy od Przestrzeni.

Przedwieczne byty logiczne zastygły w zadumie.

Gorzów Wielkopolski, Arsenał, czas przerwy obiadowej

Feliks siedział przy biurku zawalonym kablami, podczas gdy młody Agaton wpatrywał się w zadrukowaną kartkę, tę z Wrocławia. Powietrze było ciężkie jak przed burzą – tylko że zamiast deszczu sypały się daty.

– Szeffie... – powiedział niepewnie Agaton. – To wygląda jak równanie falowe. Ale zmienna nie jest przestrzenna. Tylko czasowa.

Feliks potarł czoło. Dalej udawać, że to zwykłe awarie?

– Jeśli to prawda... – mruknął – to oznacza, że przestrzeń nie jest podstawowa. Byłaby wtedy tylko pamięcią, skutkiem wydarzeń czasowych. Nie miejscem, lecz zapisem tego, co już się wydarzyło.

Agaton upuścił kartki na podłogę.

– Szeffie, to tłumaczy nasze dzisiejsze newsy! MZK raportuje awarię systemu. Tramwaj linii numer 1 wyjechał z zajezdni jutro, a wczoraj dojechał na pętlę. Z pasażerami, którzy dzwonią z pretensjami, że jeszcze nie zdążyli do niego wsiąść!

Feliks wstał powoli.

– A remonty? – szepnął. – Jak myślisz, dlaczego remont ulicy Sikorskiego trwał tak abstrakcyjnie długo? Oni wcale nie lali tam betonu, Agaton. Wpadli

w pętlę czasową. Budżet miasta latami tatał dziury w strukturze wszechświata! Czy ktoś powinien powiedzieć na sesji: „zarzut o przekroczenie kosztów – niwelacja odczłatwienia chronogeometrycznego”?

Podszedł do okna. W porannej mgłę majaczyły schody z Parku Siemiradzkiego. Potężne, betonowe, absolutnie pewne siebie.

– Agaton... – powiedział cicho, nie odrywając wzroku od szyby. – Skoro geometria i czas tak na siebie wpływają, to pewne struktury mogą działać jak anteny. A jeśli te Schody wcale nie prowadzą donikąd w przestrzeni?

Agaton stanął obok niego i zmarszczył brwi.

– Tylko dokąd?

– W czas – uśmiechnął się Feliks. – Czekają tylko na zamknięcie obwodu. Kiedy Zielona Góra w końcu spełni swoją starą obietnicę i ufunduje na szczycie Schodów Palmiarnię, roślinność ustabilizuje pole tachionowe. Czy jak tam się to fachowo nazywa. Wtedy oś symetrii zostanie wyrównana, system odzyska punkt odniesienia i otworzą się Wrota Czasu.

Agaton wciągnął powietrze.

– To nie jest żart na Prima Aprilis?

Feliks spojrzał na niego z poważną miną.

– U nas każda data wygląda jak żart – do momentu, aż zrozumiesz, komu bije dzwon.

Wrocław, Ratusz, nazajutrz

Wieczorem prezydent Wrocławia pracował przy biurku. Telefon nagle zawibrował.

– Tak?

– Dzień dobry – odezwał się głos w słuchawce. – Mam pytanie dotyczące waszego komunikatu SIEW.

– Jakiego?

– User-Agent: PAW/1.0. Czy to jakiś wasz system?

Prezydent zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Na parapecie pięknego okna siedział Wrocek. Uszy miał skierowane w stronę prezydenta. Słuchał bardzo uważnie, jakby sprawdzał, ile z tego ludzie naprawdę zrozumieli.

Laptop na biurku zamigał. Na ekranie pojawił się krótki komunikat: Siew – zakończony.

Wrocek oblizał pysk z godnością istoty wyższej. Ustawił się tyłem do kamery. Ogón drgnął raz. Potem drugi. Jakby uznał, że czas poszedł w dobrym kierunku.

Kot wstał, żeby zejść z parapetu. Poślizgnął się i spadł na dywan z głuchym, bardzo mało godnym tupnięciem.

Rozejrzał się szybko, sprawdzając, czy ktoś to widział. Otrzeptał futro. Poszedł do miski. Zjadł chrupki z kurczaka. Normalnie. Jak miliony innych kotów.

Słowniczek dla humanistów:

SIEW – procedura kosmiczna polegająca na tym, że cywilizacja nagle dowiaduje się czegoś fundamentalnego o Wszechświecie. Najczęściej przez przypadek.

Status: Nielethalny – raczej nie powinno nikogo zabić, „raczej” jest tu kluczowe.

Inteligencja steganograficzna – właściwa kotom; od steganografia – sztuka ukrywania komunikatu tak, żeby nikt niewtajemniczony go nie zauważył.

Pole tachionowe – pole hipotetycznych cząstek poruszających się szybciej od światła; nauka jeszcze ich nie widziała, ale fizycy mają przeczucie, że gdzieś się spieszą.

Kalibracja rzymska – zasada urbanistyczna mówiąca, że miasto może być naprawdę poważne dopiero wtedy, gdy stoi na siedmiu wzgórzach. Jeśli wzgórz jest mniej, należy je policzyć ponownie.

Godność istoty wyższej – cecha charakterystyczna kotów. W starożytnym Egipcie była oficjalnie uznana, dziś funkcjonuje nieformalnie.

Niwelacja odkształcenia chronogeometrycznego – bardzo przydatne pojęcie, kiedy trzeba wyjaśnić coś niemożliwego z całkowitą pewnością siebie.

JOLANTA BILIŃSKA: mieszka w Gorzowie Wielkopolskim. Jest emerytowaną nauczycielką, pasjonatką nie tylko historii, ale i genealogii, która spleta wielką historię Polski z losami zwykłych ludzi.



Ferdynand Głodzik

DARZ BIUR

Waćpanno piękniejsza od innych królewien
niech nigdy twe fusy nie legną w tym zlewie.
Przez fusy od kawy i liście herbaty,
narażasz swój urząd na koszty i straty!

Gdy trochę wysilisz mózgowe swe zwoje,
zrozumiesz, skąd biorą się drobnoustroje.
Wpierw z fusów do kubta opróżnij swe gary,
a potem je umyj i nie rób nam siary!

KUPIŁEM CIĘ

Mam cię nareszcie i to na własność,
przed moim torsem kładziesz się płasko,
widząc rozległe twoje potacie,
ja nie próżnuję, czasu nie tracę.

Wpierw się pochylam skromnie, w pokorze,
na twej powierzchni wznosi się stożek,
we współdziałaniu z tobą się bratam,
mieszam, urabiam, nawet ugniatam.

Efekty tego będą wspaniałe;
w ruch posuwisty uprawiam mój watek,
aby się cieszyć dzieła owocem,
sapię z wysiłku, nawet się pocę.

Póki nie skończę, wytchnienia nie ma,
efektem tego jest straszny cienias.
Fartuchem z potu ocieram lico;
ja cię uwielbiam, moja stolnico!

ZAURCZENIE

Spotkał byczek raz żabkę, gdy zszedł w pole ze ścieżki;
sapnął cicho i oczka przymrużył;
żabka była zielona, byczek młody i rzeński,
więc od razu się w żabce zadurzył.

Nie czekając na próżno, zaraz wyznał jej miłość;
dał jej kwiatek, uczuciem zapatał;
żabka cicho westchnęła, pięknie razem by było,
lecz ja jestem dla ciebie za mała.

Byczek, mając już w myślach z małą żabką sto uciech,
skubnął trawy, co rosta na górze:
jeśli tego wymagać będzie nasze uczucie,
ja dla ciebie ma żabciu się skurczę!

żabka na to ze stawu odezwiała się krzykiem,
aż w nim śnięte ocknęły się ryby:
ja myślałam z początku, żeś zwyczajnym jest bykiem,
a ty jesteś po prostu skurczybyk!

FERDYNAND GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przechera* (2016) oraz *Księgo imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień.

STARSZA PANI KICHA

Maria Jolanta Fraszewska

Oj tak. Starsza Pani dobrze pamięta. Kicha. Tak się mówiło za jej młodości. Ale kicha. Czyli do niczego. Ale kicha – i co teraz z tego będzie. Nie kichaj, bo zarazisz. A tak, tak, to już inne kalosze. Błotko nie złotko, kochaniutka. Ale kicha, ale niezręczna sytuacja. Bęc, bęc. Gdzie się schować. W dole, w górze. Ale kicha. Balon pękł. Starsza Pani na to wszystko kicha. A niech jej na zdrowie będzie. Dęta gadka. No i po co ci to było? Nie gadaj, to i kichy nie będzie. Milcz, a daleko nie ujedziesz. Bo kicha ta dętka i ups. Powietrze przyjęło. Kicha nie siada. A psik!!! Oj ojoj!!! Oj poleciało. Oj, ale kicha. Mówiłam – nie kichaj. A może trochę lipy? Herbatki, znaczy się. Oj, znaczy, znaczy. A kiszki marsza grają. A kiszka ci na obiad i po sprawie. Kichasz jeszcze waść? A zażyj tabaki! Odpręż się, nabierz odwagi, uspokój emocje. Starsza Pani kichnęła dla równowagi.

Starszą Panią bolą zęby

Starszą Panią boli ząb, więc wyrwa do przodu. Biegnie co sił. Ile wlezie. Wskakuje na rowerek. Wlazła na kark. Wskakuje na kark. Podskakuje jak podłotek. Na karb czasu i karku. Przemierza świat. Razem wzięte. Hurra. Zdobyte. Gna. I przegina. Chwieje się. Ale nic to. Wyścig z czasem trwa. Dalej boli ten ząb. Więc piątuje, ile wlezie. Ząb czasu nie okazuje ani zrozumienia, ani nie gubi odcisków. Odciska się ząb czasu w śniegu jak rozłożyste skrzydełka orła białego. Leży, ale zipie. Okiem i mrozem skrzy. Ale ząb leci na łeb i szyję. Jakby to były procenty. Oj, boli ten ząb, boli. Ani go wyrwać, ani zamaskować, ani wybielić. Starsza Pani rozkminia. Ząb kruszeje. Starsza Pani czeka na przyszłość. Jak w każdej kolejce. Jest tłumnie. Nie pyta, *za czym kolejka ta stoi*. Nadgryza kawałek czasu. Dla zabicia czasu. Tak odruchowo. Szare zamienia w złoto. Złoty wiek tej pani pali się do skoku. Starsza Pani całuje siwy włos na swojej skroni. Na szczęście. Ząb czasu podgrywa na pile, żeby było milej. Więc od mili do mili, za sobą się stęsknili. Poszli w tany. O rany. Jaka bajka.

Starsza Pani się boryka

Starsza Pani się boryka. Nie że Baryka. Tamten to był Baryka. Cezary. I w dodatku nie istniał. Duch? No co też? Jaki duch? Duch był w nim patriotyczny. Ale nie istniał. To znaczy duch w nim istniał, ale postać nie istniała w rzeczywistości. Taki czaruś, ale odczytany. Wewnętrznie rozdarty i zarażony. Bo miał wizje od gorączki. Więc duch został wywołany. Do tablicy. I dostał dwójkę. Nie zdał. No, może dostał jedynekę, czasy się zmieniają. Więc był pierwszy. Taki wzór dla innych. Ale nie zszedł na ziemię, bo nie istniał. Więc nie mógł. Może i potrafił, bo kto go tam wie. Przecież mówię, że nie istniał. I w dodatku poszedł w las jak ogary albo charty, nie pamiętam. Gonili resztkami sił. Tyle pamiętam. Tak to z fantazjami jest. Są, a jakby ich nie było.

Słyszysz głosy, ale ucho trzeba do kontaktu wsadzić albo, wiesz – diagnoza odpowiednia. Marzenia nie do spełnienia. Więc Starsza Pani boryka się z marzeniami. Boryka się z ideą. I idą i urabiają sobie ręce po łokcie i żyty wypruwają i rozpisują się jakby literaturą stworzeni. Pracują w pocie czoła i w znoju. „Wznój” to ich ostatni. Oj, sorki, gnój, nie, nie, nie. Jeszcze inaczej. Jak to było. Zwrotka, przyspiewka. Literatura. Ot i co. Bo ja się boją, o lala. Borykanie na wulkanie. Barykady wstecz i nazad. Do punktu wyjścia. Bo będzie wpadka. Idea. Tak, idea do przodu i się boryka. Tak. Starsza Pani się waha. Krok do przodu krok w tył. Hulaj duszo Woła. I odjeżdża na elektrycznej hulajnodze w tany błękitne. Gdzie gryka biała i cymbalistów wielu. W tę i z powrotem. Tak między nami.

Starsza Pani wieje

Starsza Pani wieje. Je je je je. Acha, znowu jej się przytrafiło. Zwiata, gdzie pieprz rośnie. Poczuta się tak szczęśliwa, że wróciła do Beatlesów. Je je je. Albo jest głodna, albo i nie. Lekko i rytmicznie. Pieprz potrzebuje ciepłego klimatu. Starsza Pani przeczytała w internecie. Internet zastępuje jej pamięć. Co za łatwizna i jaka wygoda. No bo – gdzie pieprz rośnie? Czasami na nosie i wtedy jest Świętym Mikołajem. Rozbawia dzieci i staruszki, co ani rusz, ani popieprzyć, ale zawsze na zdrówko i rozgrzewająco. Starsza Pani klika w gogle. I czyta hasetko. Kto ucieka, gdzie pieprz rośnie? Czyżbym zgłupiała? Pyta siebie Starsza Pani. Nie, nie muszę. Wystarczy, że zajrzę do gugla i się poguglam ze śmiechu. Ucieka tam. Tam ucieka. Tam tam. Ucieka tam i już nigdy nie wraca. Bo tam jest gorąco i mózg paruje. A gdy wraca do chłodu, to się skrapla. Nie umniejszając wiatrowi, płyń po morzach i oceanach. Starsza Pani wieje stąd. I dotąd jej nie widzieli. Poptynęła z prądem. Albo z prądownicą, bo wciąż nawija. Prądnica, och głupia ty, głupia. Byle do wiosny, do maja bżem kwitnącego. Wirujesz jak zwoje w mózgu. Od wiatru płyną fale, wirnik twoja mać. Ma kręcka. Starsza Pani wieje, stąd tam tam zostaje. I znowu wieje. I jak szalupa na tym wietrze tam tam pogrywa na nosie.

Z cyklu „Starsza Pani potyka się o słowa”

MARIA FRASZEWSKA: absolwentka socjologii, psychologii oraz pedagogiki i coachingu. Należy do Związku Literatów Polskich oddział w Zielonej Górze. Jest autorką kilkunastu publikacji. Uprawia poezję, eseistykę i prozę. Wydała m.in. *Wio w snach* (1995), *Z wiatrem* (1997), *Płonące języczki* (2021) czy *Posypana wiatrem* (2022). Współpracowała z gdańską grupą poetycką TOTART, publikowała m.in. w tygodniku literackim „Śmigło”, „bruLionie”, czasopiśmie „Pro Libris”, kwartalniku literackim „reWiry”, magazynie literackim „Helikopter”, miesięczniku literackim „AKANT” czy gazecie literackiej „Migotania”. Od roku 2013 uczestniczy w programie unijnym *Emultipoetry: Wiersze na murach* Kraków. Miniaturki poetyckie jej autorstwa znajdują się również w Antologii wierszy na murach.

OPTYMISTYCZNIE

Agnieszka Zatylna

*Chwasty to także kwiaty,
kiedy lepiej je poznasz.*

(A.A. Milne)

Na placu zabaw znowu gwaro. Wszystkie dzieciaczki sąsiadów mają przynajmniej po pięć centymetrów wzrostu więcej. W młodości muszę dopatrywać się znajomych twarzy; zmężnieli, puszek pod nosem. Mieszkanki mojego osiedla wdzięcznie parady w modnych kreacjach, znaczącym gestem podkreślając odświeżony kolor włosów i węższą talię. Z błyskiem w oczach prezentują efekty swoich metamorfoz. Całkiem liczna grupa sąsiadek zdążyła się opalić, chociaż ja jeszcze nie odczułam napływu gorących mas równikowego powietrza. Za rok też się wezmę.

Objeżdżam okoliczne sklepy ogrodniczo-przemysłowe, łudząc się, że trafię na rewelacyjną ofertę promocyjną, skrojoną na miarę mojego budżetu. Oglądam z zachwytem bujną surfinię obsypaną kwiatami i kłęjącymi się do palców liśćmi, jakby prosiły, żebym je stamtąd zabrała. Zabrałam. Przy każdej kasie tłumy. O dziwo, większość parami? On jakiś podenerwowany, manewruje wózkiem z paletą farb, wałkami przeróżnych rozmiarów, zapasem kotków i listwami do paneli, które utrudniają podejście do koszyka sklepowego z jakiegokolwiek strony. Ona przeszczeniła, w wysokich bucikach, ćwierka do swojego misia z jedną doniczką na ramieniu i kwitnącą lawendą. Namiastka Prowansji w zasięgu ręki. Jak nic wiosna!

Mnie również ogarnęło szaleństwo na przednówku, tak dalekie od wspomnienia kończących się zapasów w babcinym kopczyku za domem. Na stołach nie królują już stare ziemniaki i nie trzeba grzebać w glinianym garnku z piaskiem w poszukiwaniu ostatniej pietruszki. Znalezienie w żwirku czegoś żywego zamiast przywieźniętych, obumartych warzyw zapewnia tematy rozmów na pierwsze ciepłe wieczory. Pomidory intensywnie pachną i smakują w swoim pomidorowym czasie. Zdaje się, że te sklepowe dozują aromaty, aby im wystarczyło na cały rok. Zanim jednak soczyście zazielenią się łąki, w pobliskich ogródkach zakwitają już grillowe klimaty. Nawet majowy weekend nie wyznacza rozpoczynanego dużo wcześniej sezonu. Wystarczy temperatura na plusie, by na świeżym powietrzu można było poczuć unoszący się apetyczny zapach pieczonej karkóweczki, kaszanki i tak popularnej w naszej regionie rozpatki.

Wracam do koszyka, w którym pierwsze miejsce zajmują dorodne cebule. Co tam szalotki i szczypiorek, bez mieczyków i dalii się nie obędzie. W tym roku

na moim balkonie króluje ponadczasowa biel i żółty we wszystkich jego odcieniach: cytrynowy, kanarkowy, szafranowy, słoneczny, a nawet bahama. Obowiązkowo pięćdziesiąt litrów dobrej ziemi do dużej donicy. Albo... jeszcze pięćdziesiąt, na zapas. Dodatkowo worek do kwaśnolubnych, coś na mszyce, butelkę nawozu i do kompletu latarenkę. No, może dwie. O, matko, jak ja to wszystko przytargam! Heroicznie sama stawiam czoła wyzwaniu, bo inaczej wyjdzie na jaw, jak bardzo rozpędziłam się w zakupach i wizji pięknego, wiejskiego ogrodu, który nadal piełgnuję tylko w marzeniach. Siedem metrów kwadratowych odkrytej przestrzeni użytkowej pozwala już na mały nierozsądek. Ale to jeszcze nie koniec! Za dwa tygodnie pojawią się bowiem moje ukochane angielskie pelargonie.

Mówi się, że wiosna obdarza radością, nie zważając na wiek. Daje nadzieję zrezygnowanym i umacnia pewnych swoich wyborów, towarzyszy oczekującym, karmi słońcem z wiarą w dobre, obfite plony. Pozwala zachwycić się delikatnością wonnych fiołków i długowiecznością szafirków, do których z pokorą trzeba się pochylić, ale też wytrwałością i bogactwem zasobów komosy czy mniszka, uznawanych przecież za chwasty. Dostrzega walory i możliwości bez uprzedzeń.

AGNIESZKA ZATYLNA: polonistka, bibliotekarka, arteterapeutka. Na co dzień szuka niekonwencjonalnych pomysłów, aby zachęcić uczniów do rozpoczęcia przygody z czytaniem. Te działania zostały wyróżnione: dwukrotnie przez fundację Cała Polska czyta dzieciom oraz nagrodą Małego Zwyrtały na Międzynarodowym Festiwalu Literatury dla Dzieci w Rabce. Uczestniczka zajęć literackich Padok Pegaza.



O SENSIE DYNDANIA WŚRÓD LUDZI

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Mam! Między czwartą a piątą rano i koniecznie w poniedziałek. Co jeszcze muszę ustalić? Czas – doprecyzowany do granic możliwości. Zawisnie moja predestynacja, zadyndają ideały jak nogawki odcięte od spodni. Będę sobie dyndał – ponad ziemią, ponad światem, bez konieczności beznadziejnie, podle banalnej, grawitacji. *Zresztą omnia sunt hominum tenui pendencia filo! Wszystko, co ludzkie, na cienkiej wisi nici.* Więc będę sobie dyndał!

Poniedziałek zawsze stanowił specyficzną cezurę. Ilekroć planowałem coś nowego, zawsze miało to być w poniedziałek. Teraz też odczuwam konieczność czegoś nowego. Mój błogi niebyt. Ponad ziemią płynąć będą me dni!

Poezję tworzy się na potrzebę chwili. W mym życiu prozaicznym poezja umierała śmiercią naturalną każdego poranka. W poniedziałki? W ogóle zapomniałem o poezji. Ktoś kiedyś stworzył pojęcie poezji codzienności. Czyli: poezja mknących mostem, niedoskonale ślepych na jedno oko samochodów? A może poezja brudnych od kawy, niedoczyszczonych, porzucanych w biegu przed pogonią kieratu tyżeczek? Taka byłaby moja poezja codzienności. Nie, taka poezja nie może istnieć! Poezja codzienności? – nie istnieje!

To będzie jutro. Między czwartą a piątą rano. Jutro – bo jutro poniedziałek. Ot, cała filozofia. A kiedy będę już sobie dyndał, pomacham z radością poezji codzienności, która nigdy nie stała się dla mnie światem otwartym. Ale zachowam się w sposób przewrotny. Będzie mi wszystko jedno, ponieważ zmienię wtedy swą perspektywę istnienia. A z tego innego punktu widzenia trzeba dokonać czegoś innego, mniej banalnego. Ostatecznie perspektywa dyndania przekształca, przerabia, przepoczworza nawet. Zaryzykuję twierdzenie, że przemietamorfozuje rzeczywistość. Dlatego właśnie pomacham światu nie rączką, a nóżką! Tak przyjaźnie oderwany od ziemi, najpierw wprawię w ruch jedną, a potem drugą – ale nogę.

Czwarta nad ranem? To przecież nic oryginalnego. Czwarta też rozpoczyna – niczym poniedziałek, gdyż wówczas na dobre budzi się dzień. Ten ma się zbudzić wyjątkowym!

Trzecia... Skrzypnięcie windy i jakiś przeraźliwy pisk kota. Marcuje się hultaj dachowiec. Warknięcie ostrzegawcze cywilizacji – włączony na chwilę silnik. No proszę! Dopiero trzecia, a już jestem wprawiony w błogostan niedotyczenia. Wszystko to już mi wisi, dynda i powiewa. A to co? „Pac!”, „Sztandar rozwiany na wicherze”? Kto powiesił za moim oknem tę cholerną flagę?

Spokojnie, bez nerwów... Wkrótce ja też będę sobie wisił i tak uderzał, jak mi się podoba. I ocierał się, i był wysoko ponad niczym hultaj dachowiec. Dostąpię więc wolności sztandaru i swoich kocich dróg.

No, proszę! Trzecia trzydzieści, a mi już wisi! Trochę huku i boląca szyja od zadzierania głowy. To podobno niezdrowo tak zadierać głowę. Dlatego świnia nigdy nie dostąpi kręczu karku. Świni nie zazdroścę. Świnia nigdy nie zobaczy nieba. Puste stworzenie i biedne zarazem. Dla mnie bowiem niebo otwiera się wraz z tym sznurem na framudze. Dyndanie zawsze zbliża do nieba.

Miejsce też wybrałem – drewnianą framugę między stołowym a przedpokojem. Gdy wszędzie słońce, zobaczę niebo i niebo mnie zobaczy – mnie – w całej okazałości i chwale. Słońce bowiem pięknie ozłoci całą postać i zostanie wtedy w-niebo-wzięty.

Czegoś jednak nie zaplanowałem! Nie mogę zadyndać!? Przecież ja nie wybrałem Osoby! Koniecznie powinienem wybrać Osobę, która jako pierwsza mnie zobaczy! Powinna być wybrana... A właściwie... Może wcale nie muszę? Czy nie będzie mi wtedy wszystko jedno? Przecież wkrótce po tej jednej osobie będą już kolejne. Wejdą i zobaczą mnie płynącego na wysokościach ku tej doskonalszej, bo oderwanej od ziemi, Formie.

Mogę zawisnąć. Zrobione! Wisi już w całości. Kształt coś jakby przypomina. Szafof? Nie, nie przesadzajmy. To po prostu... semafor! Tak, zwykły kolejowy semafor. Mój ma podniesioną głowę, więc zaprasza mnie do dyndania, mówiąc: „Droga wolna!”
Jazda!

* * *

Gdy nie zastali mnie w pracy w poniedziałek, gdy telefon milczał jak zakłęty, gdy esemesy płynęły już donikąd i umierały nieodczytane...

Właśnie wtedy wkroczyli wszyscy. A Szeff kroczył na czele. Akurat nabierałem pędu i byłem pod sufitem. I tam utkwilem. Zahaczony o lampę w stołowym, tak jak sobie wymarzyłem, machałem do nich nóżką. Najpierw prawą, później lewą. Aż w końcu... całym ciężarem zwałem się na głowę szefa.

* * *

W poniedziałek między czwartą a piątą rano zmieniłem swą formę istnienia na ziemi.

Jako że nie mam już pracy, większość życia spędzać będę teraz na huśtawce, którą sobie zamontowałem między stołowym a przedpokojem.

W poniedziałki między czwartą a piątą rano popętnia się najwięcej samobójstw. Biedni samobójcy! Ich udziałem nigdy nie stanie się radość huśtawkowej perspektywy, która z każdym dniem zbliża nie do nieba.

Tylko lampę ze stołowego musiałem wyrzucić. Zbyt często zahaczałem o nią prawym sznurkiem...

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego w II LO w Gorzowie Wielkopolskim. Opiekunka szkolnego kota Teatralni i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i małych próz. Wydała zbiory opowiadań *Biedroneczko, leć do nieba* (2010) oraz *Bzyczanka na żyrandolu* (2023).

KIEŁKOWALIŚMY Z IRKIEM

20 marca w Willi Hansa Lehmana lubuskie środowisko literackie spotkało się, by twórczo przywitać wiosnę w ramach trzeciej odsłony konkursu poetyckiego Wiosenne Wierszowanie. Motywem tegorocznej edycji było „kiełkowanie”, a rywalizację oparto na cytatach z wierszy Ireneusza K. Szmidta.

Wydarzenie poprowadzili: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, prezeska gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich oraz Sławomir Szenwald, dyrektor gorzowskiej Książnicy.

Wydarzenie połączyło pokolenia i wrażliwości. Było nostalgicznie, poruszająco i zabawnie.

Tegoroczne Wiosenne Wierszowanie wygrała Edyta Plucińska. II miejsce zajął Igor Klityński, a III – Aneta Długotęcka.

Poza konkursem swoje teksty zaprezentowała Aneta Gizińska-Hwozdyk. Wieczór umilił także występ akordeonisty Dawida Gigoły.

Edyta Plucińska

MANIFEST

splątani byli
w jedno drzewo
aż skórę
porosła ciepła kora

korzenie
poity sokami
z własnych słabości

w liściach ukryli marzenia
w gęstym cieniu lęki

trwali
z pochylonym czołem
w pokorze przed wiatrem
co rwał gałęzie
w burzowych nocach

wierzyli
że czułość
jest ziarnem
i owocem miłości

zakwitła

Igor Klityński

MĄDROŚĆ KAMYKA

Kiedy zaczyna się dzień?
Czy kiedy przywitasz słońca promień?
Czy kiedy spadnie rosy cień?
Czy potokiem poptynie pierwszy kamień?
Taki, który odszedł, zapomniany
Bez imienia, ale z kierunkiem
Od zawsze, ale bez zmiany
Podzieli się życia rachunkiem

Swoją strumyk musi mieć każdy
A w tym strumyku kamyk własny
Kiedy nadejdzie chwila i głos zadrży
Potok opowie, cierpliwie wyjaśni.

Czasem trzeba dla siebie gdzieś zniknąć
A kiedy będziemy już sami
Zamknąć oczy, powoli rozkwitnąć
Bo życie odbywa się między dwoma oddechami

Aneta Długotęcka

NA WIOSNĘ

spuszczę włosy
jednym zdecydowanym ruchem jak psy z kagańca
zafalują wolnością
we wszystkie strony świata
miks feromonów i pachnideł
opalizujący błysk miedzi
zwabi cię do mnie

*spod traw korzeni cichy gwar
wyławiam niby ryby siecią
na karku czuję przyjemny skwar
oddechy wiatru rześko nęcą
by zlenić się wśród fal natury
ułożyć kształty w rześkiej zieleni
otworzyć zmysły na szmaragdy lazury
wysłuchać co mówią głosy ziemi*

MIEJSKA STOKROTKA

jak Feniks
wzrastasz co roku
wśród ulicznego klimatu
spragniona promieni
niepomna na braki
tolerujesz nawet
smogowego potwora
wśród kamienic i bloków
wychylasz się z gruntu
odporna na ostatnie przymrozki
dajesz zielone światło
na rozruch wiosny

*i doprawdy nie wiem
czy zrosłem się z drzewem
a może zawsze nim byłem
nie zauważyłem tego
od dawna stoję w miejscu
w sercu rozpanoszonego leń
kręgosłup wrosnięty w ziemię
wewnątrz jeszcze drżenie nadziei
wypuszcza zielone gałęzie
wiatr rodzi widmo ruchu
potrzebne doładowanie słońcem*



Zuzanna Bandera

SPOWIEDŹ

Dlaczego milczysz? Dlaczego się kryjesz?
 Czy w moim sercu po cichu żyjesz?
 Czekałem na Ciebie w tym pustym oknie
 Aż serce w smutku mi pękło żałośnie
 Wołałem głośno Twoje imię
 W tej najokrutniejszej srogiej zimie!

Lecz gdy uśmiechnięta słodko
 Ty wschodziłaś, *miejaska stokrotko*,
*Najzieleńszym ziele*m
 Ja na ciebie czekałem z weselem

To Ty we mnie rosnąć zaczęłaś
 Moc swą z najgłębszych tęsknot wziętaś
 Czułem, jak rośniesz, pędzisz do góry
 Krusząc w mym wnętrzu lodowe mury

To dzięki Tobie sam rozkwitałem
 Z każdym dniem innym się stawałem
 Teraz chcę Cię uścisnąć! Chcę Cię całować!
 I w swych ramionach na zawsze schować!

Wypowiadać się dzisiaj musiałem
 Zgrzeszyć miłością tą zapragnąłem!
 Wybacz mi, Pani, wołanie głośno
 Lecz kocham Cię, Wiosno!

Ewa Burakowska

WIOSNA,
PIERWSZA CÓRKA ROKU

spogląda w niebo
 przeciera oczy
 wschodzące słońce
 na horyzoncie
 budzi uśmiech na jej
 twarzy
 i maluje obraz kolorowy

resztki śniegu
 rozmazują plener

pierwsze kroki stawia na
 ziemi

chce ujrzeć
 kietkujące życie
 jeszcze zasiać co trzeba
 by wzrastało w naturze

te wizje przyszłych
 plonów
 spełnią jej dojrzałe
 decyzje



Krystyna Dziewiątowska-Gintowt

DRZEWO I JA

gdybym nie była kim jestem
 drzewem bym chętnie wyrosta
 przydrożnym lub na rozstajach
 i byłabym mądra byciem
 i całym dookoła życiem

gdybym nie była kim jestem
 drzewem bym chętnie wyrosta
 dębem bukiem brzozą lub sosną
i doprawdy już nie wiem
czy zrosłam się z drzewem
a może zawsze nim byłam

Janina Jurgowiak

BOHATERSTWO

...spod traw korzeni cichy gwar
Wyławiam niby ryby siecią
 Ireneusz Krzysztof Szmidt

Pod trotuarem cichy szept
 – siecią go nikt nie złowi –
 Zamiera, milknie zapomniany.
 I deszcz go nie dotyczy
 i słońce nie uchroni.
 Tu kiedyś kwitły tulipany...
 Czy ktoś pamięta tamten czas?
 Raz jeden przebił się przez asfalt,
 lecz został zdeptany.
 – na diabła nam takie bohaterstwo,
 my przecież beton mamy.

DĄB

...i doprawdy nie wiem
Czy zrosłam się z drzewem
 Ireneusz Krzysztof Szmidt

Dotykam delikatnie chropawej kory.
 Pod nią szumi życie.
 – Otwórz się, proszę.
 Wejdę w ciebie z moim strachem,
 a ty zamkniesz pień i nikt się nie dowie,
 gdzie się podziata ta pocieszna wariatka.
 Uczynisz mnie twardą, niezlomną jak ty.
 Ukryta, ze stoickim spokojem będę słuchać
 pieśni wiatru i opowieści księżycy.
 Bez pamięci zakocham się w gwiazdach.

Jolanta Karasińska

WIOSNO

nieśmiały promieniem
prowokujesz pobliskie trawy i pąki
zachęcasz odważniejsze ptaki
do rytualnego tańca i figlarnych trel
choć teraz jeszcze
trudno ten czas
nazwać twoim imieniem

jesteś niezmiennie
wiosną budzącą nadzieję
znowu zaimponowałaś nam
znanym spokojem i skrytością piękna
delikatnością uniesień
w kolorze zieleni
szepcząc wschodziłaś
miejska stokrotko
najzieleńszym zieleń
pośród zmurszałych liści
chcąc przybliżyć piękno
niebu kietkujesz

Tomasz Korbanek

PIERWSZA

*wschodziłaś miejska stokrotko
najzieleńszym zieleń
Ireneusz Krzysztof Szmidt*

przyszła z odwilżą
zabrała strach
zalegający
pod powiekami
słońcem w zenicie
zrosiła czotą
cała w pierwiosnkach
zatrzepotała
motylem w brzuchu
miłość i wiosna

JA, DĄB

*I doprawdy nie wiem
czy zrośtem się z drzewem
a może zawsze nim byłem?*
Byłoby to uzasadnione pytanie
stąd ta moc i zaparcie
w rzeczach trudnych
i wyjątkowych zarazem?
Bliżej nieokreślone
ale zwycięskie dyskusje
ze zbyt silnym wiatrem
i ostoją w miejscu ważnym
kietkujące wsparciem
w chwilach zwątpienia i niemocy.
Jakie to piękne by móc przekonać się
o tajemnej sile tuląc swoje ciało do pnia
niebwydanego o mocy
która tkwiła zawsze we mnie
i ciągle udziela się
w tym przymilnym skupieni
u niepokornego jutra

BEZDROŻA

układałam wersy
z mchu i paproci
wróżby z obłoków
podszytych wiatrem
nurkuję w las
rozkołysany
w załączkach źrenic
atramentowa
noc płynie w żyłach
tkankach palczastych
sosen i brzoź
rozmywa mgłami
horyzont we mnie

Marek Piechocki**WYŁAWIAM NIBY RYBY SIECIĄ**

(Ireneusz K. Szmidt)

Wyławiam niby ryby siecią
 Słowa, wersy, strofy
 Z zimowych pieleszy
 Spod śniegowych pierzyn
 Marzeń i snów gdzie jeszcze
 Nieśmiałe słońce

A tu marzec

Słońce
 Deszcz
 Wiatr
 Śnieg

I ty w płaszczyku za kolana
 Na tej fotografii z wczoraj

Chciałoby się w sukience z chabrami
 Zwiewnej

Więc jeszcze czekanie
 Pisanie listu:

Przyjeźdź miła kwietniową wiosną
Moje tąki przyleśne
Podaruję ci świeżość poranka
Zapach dnia mgły wieczora

Agata Senyszyn

Kiełkuje we mnie
 wzmożona nadzieja
 Spod traw korzeni
 cichy gwar
 wyrzywa ucisk z mej piersi
 gdy wiosna
 zasiewa coś dobrego
 na podłożu strachu

Wiosna nie uleczyć
 serca słońcem
 Nie zaklei ran
 pogłębianych przez chłód
 Twoje sztuczne ciepło
 nie roztopi bólu
 który w mnie zostawiłaś
 Ale wierzę
 że rozkwitające pąki
 rozsieją zrozumienie
 które mnie odmieni

Zbigniew Witostawski**SPOD TRAW KORZENI CICHY GWAR / WYŁAWIAM NIBY RYBY SIECIĄ**

Zaciągam siecią słów tawice...
 Tymczasem w trawie, bez ochyby,
 spod korzeni kiełkują... kiełkują dżdżownice
 chętne, by ze mną wybrać się na ryby.

Zbigniew Ziemecki

WIOSNA

*Spod traw korzeni cichy gwar
Wyławiam niby ryby siecią
Już dosyć mroźnej zimy mam
I czekam na wiosenny skwar*

JA DĄB

*I doprawdy nie wiem
Czy rosnę się z drzewem
A może zawsze nim byłem
A może tylko śniłem?*



Aneta Gizińska-Hwozdyk

CZAS STOKROTKI

*Wschodziłaś miejska stokrotko
najzieleńszym zieleń,
gdy na skwerach jeszcze nago, jeszcze
głucho.
Główka biała, płatki białe, czystość
pierwsza
zwiąstowałaś ziemi całej biały pokój.*

*Deszcz podlewał cię konewką małej
chmurki,
chrzczył twą biel, obmywał z miejskich
kurzów.*

*Różowiłaś pod wiosennym słońcem
marca.
Płatków ci dodawał czas*

*i burze
poruszały ziemię,
wypędzały drugą zieleń
późnej wiosny.*

*Wstąpiłaś, miejska Stokrotko,
na wyżyny nieba,
gdy lato spaliło biel twoich płatków.*

*Teraz...
Kiełkujesz wspomnieniem wiosny
i czekasz na rozkaz kolejnego marca:
Stań się najzieleńszym zieleń...*

NARODZINY

*Dociekam,
dotykam,
doświadczam,
doznaję,
dopełniam,
domyślam się.*

*Dociera do mnie,
że to już...*

*Wyławiam niby ryby siecią
spod traw korzeni cichy gwar.*

*Pędraki nasion
chrzęszczą, trzeszczą,
zgrzytają, brzęczą,
przekrzykują ciszę
wiosennych poranków.*

*Planują ogród
nieprzebytych chaszczy i gąszczy.*

*Wytyczają korytarze deszczówce
w potączonych naczyniach krwiobiegu
Matki Ziemi.*

*Cichy gwar wyda wreszcie pierwszy okrzyk,
gdy rośliny pojawiają się na świecie,
uderzone dłonią nagłej wiosny,
z odciętą pępowiną od głębi,
w której kształtowały się w rośliny.*

*Słucham,
patrzę,
dotykam.*

*Nie powstrzymam tych narodzin
spod traw...*

UDRZEWIENIE

Odnóża gałęzi rozrastały się w bólu.
Pęczniał mi na dłoni pierwszy pąk.
Oto wydawałem liść na pastwę świata.
Pisałem na nim list otwarty
o pokój temu domowi natury
i wszystkim jego mieszkańcom.

Wiewiórka uderzyła mnie
orzechem z wysokości,
a dzieciół chciał
wybić mi z głowy
pędraka,
który był jedynym bytem niezależnym
pod powierzchnią mojej kory.

Nocą sowa nie dawała zasnąć,
czesząc wszechwidzącym okiem
płataninę gałęzi i nieszczyćć
najwyższego drzewa.

Rankiem mała gałąź wspomnienia
leżała na białym prześcieradle
posennej niewiedzy.
*I doprawdy nie wiem,
czy zrosłem się z drzewem,
a może zawsze nim byłem?*

WSPÓLNE KIEŁKOWANIE

Kiedy słońce w ruch ziemię wprawiło,
w trzewiach gleby rozpoczął się wyścig:
kto z nas pierwszy pojawi się kiełkiem.
Żeby nie był to znowu... Przebiśnięg!

Wodą śniegu spojony na umór
partem pierwszy wciąż wyżej i dalej.
Zaraz wszędzie, mój świecie wyśniony!
Trąb Krokusa sukces, Skowronku, już szalej!

A tu naraz żółtawe oko
ze snu nagle Stokrotki zbudzonej
wbiło we mnie swą szpilę spojrzenia.
I wiedziałem, że jestem zgubiony.

W jej uśmiechu topiłem się cały,
bez szans życia jak ten bałwan zimowy.
Znowu wygra ze mną Przebiśnięg,
bo Stokrotka nie znieśie odmowy.

„Krokusiku, daj swą rączkę – wszędziemy
na powierzchnię razem, tylko we dwoje.
Będę wiośnę całą ci wierna,
zakwiecimy ogrodu pokoje”.

I tak tęsknie, błagalnie patrzyła.
I miała białą swych ptaków,
że schwyciłem za kibić todyżki –
fedrujemy spomiędzy Bratków.

Oczywiście – pierwszy był Przebiśnięg.
Triumfalnie uśmiechał się w stronę ziemi,
kiedy my, we dwoje, pierwszym kiełkiem
na powierzchnię wypetłziliśmy nadzy i niemi.

Choć nie byłem znowu pierwszy, nie żałuję.
Zapatrzony w mą Stokrotkę, zawiośniaty.
A gdy Pszczółta zapylała nas o świcie,
to Wiatr szeptał: „Dużo dzieci będą miały...”

Więc Przebiśnięg może tylko sobie marzyć
o urokach tej symbiozy nieskończonych.
Chciałby *rosnąć jak ja, gdy twarz nurzam
w wiosennych włosach mojej żony.*

MORDERCA O TWARZY ANIOŁA

Hanna Bilińska-Stecyszyn

- Nazwisko i imię?
- Chce mnie pan wpisać na jakąś alfabetyczną listę?
- Nie rozumiem.
- Imię historycznie jest starsze i w języku polskim powinno występować przed nazwiskiem. Czyżby w szkole czytał pan wiersze Mickiewicza Adama?
- Pani wybaczy, taką kolejność mam w formularzu. Oczywiście, że Adama Mickiewicza. Zatem imię i nazwisko, i adres proszę.
- Zenobia Kwapiszewska. Słowackiego 11 B, mieszkanie 67. Juliusza Słowackiego, naturalnie.
- Naturalnie. Dzwoniła pani, że ma coś ważnego do przekazania. Słucham.
- Widziałam coś... Mam na myśli sprawę wczorajszych zająć u moich sąsiadów.
- Widziała pani? Jak to możliwe?
- Mam swoje sposoby. Nie są zbyt eleganckie, fakt. A także coś słyszałam. I nie mogę uwierzyć, żeby pan Artur był winny. Może to jakaś pomyłka? Taki kulturalny, grzeczny mężczyzna.
- Szanowna pani, to już wykaże śledztwo i sąd.
- „Szanowna pani”. Jak miło. Dziś młodzi zupełnie nie znają zasad dobrego wychowania.
- Dziękuję. Czy możemy wrócić do tematu?
- Naturalnie.
- Proszę powiedzieć, co pani wiadomo w tej sprawie. Jeśli to możliwe, po kolei.
- Naturalnie. Ja jestem bardzo uporządkowana. Pracowałam kiedyś w księgowości, wyobraża pan sobie, że mogłabym być chaotyczna?
- Pani Zenobio, proszę.
- Naturalnie, już mówię.
- Zatem?
- W najwyższym stopniu zaniepokoiło mnie zachowanie pana Artura. Wręcz trudno mi dopuścić myśl, że tak uprzejmy, elegancki mężczyzna, taki przy tym przystojny i miły w obejściu... że mógłby... Chyba że to nie był on. Może ma brata bliźniaka?
- Sprawdzamy różne tropy, ale tego akurat jesteśmy pewni. Pan Cierzyński jest jedynakiem.
- Coś takiego. Jeszcze miałam nadzieję... Pan mnie zupełnie odziera ze złudzeń.
- Czy moglibyśmy...
- Pana czas jest cenny, naturalnie. Już zaczynam. Pan Cierzyński przed rokiem wyjechał ponoć do Holandii. Jego żona mi to powiedziała, gdy oddawała pieniądze, które pan Artur był mi winien. Podobno miał straszne długi, ale to już

wiem od pani Jadziakowej spod szóstki. Jeśli można jej wierzyć, bo to straszna plotkara. Ta Jadziakowa mówiła też, że on jest hazardzistą. Może i prawda, bo ode mnie wiele razy pożyczał drobne sumy. Dziwiło mnie, że tacy zamożni ludzie, a on pożycza, ale nie jestem wścibska jak Jadziakowa, nie pytałam. Tym bardziej, że zawsze oddawał; tylko tę ostatnią kwotę, największą zresztą, bo aż trzysta złotych, zwróciła mi jego żona.

– Sprawdzimy ten wątek. Moglibyśmy teraz wrócić do sprawy zasadniczej?

– Naturalnie. Po kolei. Najpierw słyszałam ich rozmowę. Państwa Cierzyńskich, naturalnie. Jakoś tak o dziewiątej, bo właśnie pozmywałam po śniadaniu. Rozmawiali nie przez telefon, a przez komputer, bo słyszałam też głos pana Artura. Wiem od wnuka, że to się nazywa czat. Z pewnością i pan zna te nowoczesne sposoby komunikacji, prawda?

– Tak, znam. Słyszała pani, o czym mówili?

– Śmieszne określenie, swoją drogą, ale to chyba od czatowania na rozmówcę.

Nie sądzi pan?

– Możliwe. Proszę, wróćmy do tematu. Zatem?

– Niezbyt dokładnie słyszałam, lecz niektórych fragmentów jestem absolutnie pewna. Prosił ją o jeszcze jedną szansę. Brałam pod uwagę, aczkolwiek z trudem, taką ewentualność, że chce ratować ich małżeństwo. Bo ona, to znaczy pani Cierzyńska, miała już kogoś innego, odwiedzał ją pod nieobecność męża. Taki młody mężczyzna, czasem ich widziałam przez okno, zupełnie się nie krępowali. Nie rozumiałam, jak ona może zdradzać tak dobrego, przystojnego męża, to nic, że starszego od niej, ale...

– Pani Zenobio, błagam.

– Naturalnie. Nie moją rzeczą jest oceniać bliźnich, jak najstuszej mi pan przerywa. Wracam do tej rozmowy. Chyba chodziło o jego długi, bo pani Magdalena wykrzyczała mu, że nie dostanie od niej już ani grosza, że to koniec. Aż dwa razy zawołała „koniec! koniec!”. Mój Boże, gdyby nie była dla niego tak okrutna... Przecież on, taki delikatny, subtelny mężczyzna, na pewno musiał stać się ofiarą jakichś oszustów! A wie pan, Jadziakowa mi kiedyś opowiadała, że pani Magdalena ma bardzo bogatych rodziców i spory majątek, a pan Cierzyński się ożenił dla pieniędzy, bo to gołodupiec był... Proszę wybaczyć, z zasady nie kalam ust nieprzyswoitym słownictwem. Jadziakowej też nie wierzę, to plotkara.

– To też sprawdzimy. Co dalej z panią Cierzyńską?

– Naturalnie, już mówię. Słyszałam, że po jakimś kwadransie wyszła z domu, i potem widziałam ją przez okno. Proszę sobie wyobrazić, że dosłownie za godzinę – bo właśnie, jak zawsze między dziesiątą a jedenastą wstawiłam zupę – zjawił się pan Cierzyński! Akurat wyjrzałam, by sprawdzić, czy pogoda jest odpowiednia na spacer. I zobaczyłam, jak pan Artur wysiada ze swojego auta.

– Powiedziała pani, że wyjechał do Holandii.

– Otóż to! Przecież w ciągu godziny nie mógłby przybyć nawet samolotem. Może wcale w tej Holandii nie był? O, jeszcze coś. Jadziakowa mi kiedyś mówiła, że go niedawno widziała na mieście. Jeśli oczywiście wierzyć takiej sensacji. Może jednak wrócił wcześniej? Nie, niemożliwe, przecież bym wiedziała.

– Co było dalej?

– Dalej... kiedy?

– Gdy wysiadł z samochodu.

– Słyszałam windę, potem widziałam przez wizjer... to nieeleganckie, wiem, jednak w dzisiejszych czasach, gdy kręci się tylu oszustów, trzeba być czujnym, pan rozumie.

– Rozumiem. Proszę mówić dalej.

– Otworzył mieszkanie. Miał z sobą wielką walizę, może jednak wrócił z podróży? A po kilku minutach wyszedł i znowu gdzieś pojechał. Tym razem wsiadał do auta z taką małą walizką. Zwróciła moją uwagę, bo wnuczek ma podobną, nosi w niej mały komputer, laptop to się nazywa, zapewne wie pan.

– Jest pani pewna, że to był laptop?

– Nie wiem, co znajdowało się w środku, ale z zewnątrz tak właśnie wyglądało. Maciek, mój wnuk, on mnie często odwiedza, też ma taki komputer, mówiłam panu. Aczkolwiek ostatnio rzadziej go używa, twierdzi, że wszystko ma w smartfonie – swoją drogą, jaka znowu śmieszna nazwa. Na szczęście nie siedzi wciąż z nosem w tym smartfonie, jak obecnie młodzi, wystarczy zobaczyć, co się dzieje w tramwajach na przykład. Nawet na ławkach w parku! Ludzie już wcale ze sobą nie rozmawiają! Jakże to smutne, nie uważa pan?

– Uważam. Co było potem?

– Nie wiem, kiedy pani Cierzyńska wróciła do domu, po obiedzie wyszłam na spacer. Naturalnie dla zdrowia, codziennie spaceruję. Nie rozumiem, jak mogą ludzie, Jadziakowa na przykład, stałe siedzieć przed telewizorem i oglądać te głupie serie!

– A wieczorem? W nocy? Czy widziała pani lub słyszała coś jeszcze?

– Tak. Stuszenie, że mnie pan dyscyplinuje. To już było późnym wieczorem. Spać poszłam dużo wcześniej niż zwykle, przeważnie idę do łóżka dopiero o północy. Starym ludziom trzeba niewiele snu.

– O której godzinie zatem? To ważne.

– Zasnęłam o dwudziestej drugiej, a po pół godzinie, tak, bo spojrzałam na zegar, obudził mnie hałas za ścianą. Moja sypialnia sąsiaduje przez ścianę z mieszkaniem państwa Cierzyńskich. Rozbudzona nie rozumiałam od razu, co się dzieje. Chyba obudził mnie krzyk pani Magdy, lecz nie mogłam przysiąc. Za to na pewno usłyszałam taki głuchy dźwięk, jakby coś dużego upadło na podłogę. Pomyślałam, że może ktoś potrącił fotel i on się przewrócił na dywan. Nastuchiwałam, ale już wszystko się uspokoiło. Aż miałam wrażenie, że może tylko mi się przyśniło. Jednak nie.

– To znaczy?

– Ze zdenerwowania nie mogłam usnąć. Poszłam sobie zaparzyć melisę. Usłyszałam wtedy skrzypnięcie drzwi sąsiadów. I zobaczyłam przez wizjer... Pan Cierzyński wyszedł z mieszkania znowu z tą walizką. Wydawał mi się wzburzony. Walizkę dźwigał w rękach, nie wiem czemu, i jakoś tak dziwnie się poruszał, na palcach... Jakby się bał, że ktoś go może usłyszeć. Proszę mi wierzyć, mimo swoich lat mam bystre oko. Jeszcze czasem, gdy jest dobre dzienne światło, potrafię czytać bez okularów. Da pan wiarę?

– Dam. Wróćmy, proszę, do pani relacji.

– Bardzo pan miły i grzeczny. Dziś młodzi... Przepraszam, panu się zapewne śpieszy. Naturalnie. Myślałam, że pan Artur kieruje swe kroki do windy, ale minął ją i zniknął za zakrętem korytarza. Tam jest przejście do sąsiedniej klatki, więc sądziłam, że mamy awarię windy. To się u nas dość często zdarza. Niestety w dzisiejszych czasach nie ma rzeczy trwałych, zgodzi się pan ze mną?

– W zupełności. Co było potem?

– Potem światło zgasto, to taka dwuminutowka, wie pan. Nasza winda jednak działała, bo po chwili usłyszałam, jak jedzie w górę. Więc jeszcze zostałam przy drzwiach. Ale to ktoś wysiadł na wcześniejszym piętrze. Dziwne, dlaczego pan Cierzyński z niej nie skorzystał, prawda? To mi się wydało podejrzanе. I w ogóle wszystkie te zdarzenia... Jak w jakiejś powieści sensacyjnej. Potem przez dłuższą chwilę nie działo się nic i już chciałam odejść, gdy światło znów się zapaliło. Za moment pan Artur wyszedł zza zakrętu korytarza. Już spokojniejszy, ale nie mogłam zrozumieć, co on tak chodzi z tą walizką w tę i we w tę. Może chciał, żebym go w tym momencie zauważyła?

– Jak to chciał?

– Może się domyślił, że ja... no, że patrzę... Może jakiś szmer usłyszał, bo choć wstrzymywałam oddech, w pewnej chwili musiałam odchrząknąć. Jakby specjalnie zwolnił, przechodząc koło moich drzwi, i ta walizka, taka na kółkach, wie pan, mocno zaturkotała. I potem otwierał swoje drzwi znacznie głośnieżej niż zwykle, nawet zaczął przy tym pogwizdywać. Słyszałam wyraźnie. Słuch też mam doskonały. Jak na moje lata, naturalnie.

– Proszę kontynuować, zapewne to jeszcze nie koniec.

– Już prawie. Wchodząc do mieszkania, zawołał: „Kochanie, już jestem”.

– Coś jeszcze pani usłyszała?

– Już nic. Bo właśnie zadzwonił mój telefon. Chciałam nawet odrzucić połączenie, lecz zobaczyłam, że to wnuk. Przepraszal, że mnie niepokoi po nocy. Dzwonił z lotniska, wrócił z delegacji, a pociąg miał mieć dopiero rano. Naturalnie kazałam mu wziąć taksówkę i przyjeżdżać jak najszybciej, bo tu się dzieją jakieś dziwne rzeczy i zaczynam się bać. Zażartował, że za dużo kryminałów się nazytałam. Naturalnie, lubię czytać, kryminały również. Uważam, że człowiek, który nie lubi książek, jest ubogi. Zgodzi się pan ze mną?

– Zgodzę. Więc niczego więcej stamtąd, mam na myśli z mieszkania Cierzyńskich, już pani nie słyszała.

– Przez jakiś czas już nic. Nawet się dziwiłam, że nie słyszę pani Magdy, przecież skoro ją zawołał... Zresztą, poszłam do kuchni, żeby przygotować kolację dla wnuka. Dopiero po kilkunastu minutach usłyszałam, że pan Cierzyński chyba gdzieś dzwoni, ale z kuchni nie docierały do mnie jego słowa, a gdy przeszłam do sypialni, żeby... No, wie pan. Proszę się nie dziwić, coraz bardziej już byłam zdenerwowana i dlatego. Lepiej być czujnym, prawda? Panu naturalnie takie sprawy z racji profesji nie są obce, mam nadzieję, że zrozumie pan obawy bezbronnej, samotnej kobiety. Wprawdzie panu Arturowi nic bym nie miała do zarzucenia i wcześniej nigdy nawet nie śmiałybym podejrzewać go o nieczne zamiary, ale... Takie dziś straszne czasy, lepiej dmuchać na zimne. Czyż nie?

– W pełni panią rozumiem. Ale wróćmy do sprawy.

– Naturalnie. Nie jestem pewna, lecz chyba pan Artur dzwonił na policję. Tyle że potem znowu była u sąsiadów zupełna cisza, no i akurat przyjechał Maciek. Nawet mu nie relacjonowałam tych wszystkich zdarzeń, taki był zmęczony. Szybko się położył. Ja wypitałam swoją herbatkę i jeszcze tabletkę nasenną wzięłam, bo inaczej do rana nie zmrużyłabym oka. Spałam jak kamień, nawet nie słyszałam, jak Maciek rankiem wyszedł. A potem mi Jadziakowa powiedziała, że pani Cierzyńska nie żyje! Rano u sąsiadów panowała zupełna cisza, sądziłam, że jeszcze śpią, a tu taka straszna wiadomość! Gdy wyszłam z windy, bo się wybrałam po zakupy, Jadziakowa już czatowała na mnie przed blokiem. Chciałam ją wyminąć, ale mnie zawołała. I mi powiedziała o tej biednej pani Magdalenie! Że policja była, że morderstwo... Tuż za moją ścianą, pan sobie wyobraża? Czy to jest prawda? Nie mogę wprost uwierzyć. Kto mógł zrobić coś tak strasznego? Przecież chyba nie pan Cierzyński? Choć jego dziwne zachowanie...

– To prawda, pani sąsiadka nie żyje. Więcej, daruje pani, nie mogę zdradzić.

– Rozumiem. Mój Boże, co za świat. Pan wybaczy, wciąż jestem w szoku. Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, naturalnie chętnie odpowiem.

– Dziękuję, na razie nie.

– Czy pomogłam panu?

– Oczywiście. Wybieraliśmy się do pani z wizytą, więc tym bardziej doceniam pani obywatelską postawę. Dostarczyła nam pani ważnych informacji. Liczę, że swoje zeznania, bardzo cenne dla śledztwa, zechce pani powtórzyć w sądzie.

– Jako świadek? Naturalnie, że powtórzę. Choć nigdy nie byłam w sądzie. Co innego Jadziakowa, ona już ze trzy razy.

– Bardzo dziękuję. O terminie rozprawy powiadomimy. Pozwoli pani, że ją pożegniam.

– Do widzenia. Niech mi tylko pan powie raz jeszcze, pan Cierzyński naprawdę nie ma brata bliźniaka?

– Naprawdę.

– Mój Boże, jak to się człowiek czasem pomyli. A myślałam, że znam się na ludziach. Że mój sąsiad to chodzący ideał. Taki miły, ładny pan... A może on chociaż z zazdrości zabił? W afekcie? Może działał w obronie własnej? I ślady chciał pozacierać? Jak w tych słynnych filmach kryminalnych, z pewnością pan oglądał, panie komisarzu, na przykład...

– Pani Zenobio, litości!

– Nie może pan przynajmniej tyle zdradzić? Błagam. Pragnęłabym zachować dobrą pamięć o panu Arturze, zabójstwo z zazdrości jest takie romantyczne! Ponadto... ale trochę się krępuję wyznać to panu.

– Cóż takiego?

– Pan Artur czasem tak na mnie spoglądał, gdy się mijaliśmy, uśmiechał się, niekiedy wzdychał... Wie pan, ta jego żona taka młoda, w dodatku niewierna, może mu się marzył związek z kimś stateczniejszym? W końcu to prawie mój rówieśnik.

– Czyli związek z panią?

– Jakież pan obcesowy! Ja jedynie snuję nieśmiałe przypuszczenia. Bo jeśli okazałoby się, że to z uwagi na mnie zabił żonę...

– Pani wybaczy, naprawdę musimy już zakończyć rozmowę.

– Ależ widzę, że i panu taka wersja przyszła do głowy. Jest wysocze prawdopodobna, nie uważa pan? I jedynie dla dobra śledztwa musi pan milczeć... Rozumiem. Swoją drogą, jakaż to interesująca historia. Doskonały temat na opowiadanie! Mogłoby być zatytułowane: „Morderca o twarzy anioła”. Podoba się panu taki tytuł?

HANNA BILIŃSKA-STEYCZYN: nauczycielka, literatka, recenzentka. W Oficynie Wydawniczej Silver opublikowała powieści: *Wbrew pozorom*, *Serce nie siwieje* oraz *Druga szansa, czasem trzecia*. Wydała także wspomnienia pt. *Pelunia* (nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego) oraz opowiadania w antologiach: *A wszystko przez tę książkę* i *Nikomui się nie śniło*. W 2024 roku ukazała się jej powieść *Wystarczy pokochać* oraz zbiór opowiadań *Sentymenty*. W 2025 roku ukazała się jej powieść *Grosik szczęścia*. Mieszka w Lubniewicach.



Joanna Ziemińska-Kurek

LEKCJE LOGIKI NA POLONISTYCE

Bolesławowi Królewiczowi

Bez wątpliwości wskoczyli
w gąszcze słów
ważne było – uciec
od arytmetycznych operacji
nie do ogarnięcia
przez motyle przysiadające
na kruchych gałązkach wyobraźni

A tu
prosta sylwetka Magistra
wyznaczała
początek i koniec
brała w nawias
zawitości
prostowała ścieżki
pogubionych w lesie pojęć
kandydatów na badaczy
życia.

ZJAZD ABSOLWENTÓW

Kiedy dzień chyli się ku zachodowi
i park pełen złota gubi ostatnie listy od jesieni
na samotnym krzeselku w pustoszejącej Sali
siedzi pani
siedem róż na kolanach
ośloniętych kocykiem starości

Nie patrzy na twarze pochylonych uśmiechami
Pod przymkniętymi powiekami oni ciągle
mają po dziewiętnaście lat

i tacy piękni odlatują w ciepłe strony...

Listopad 2025

TEN, PO KTÓRYM ZOSTAŁ WIATR W SKRZYDŁACH

Anna Dominiak

Choć od śmierci Irka minęło już kilka lat i pożegnaliśmy w tym czasie wielu ważnych ludzi, jego brak wciąż odczuwa się szczególnie. Był kimś, kto spajał ludzi. Miał w sobie młodość ducha, serdeczność i intelektualną przenikliwość, która szła u niego w parze z jowialnością i tym rzadkim darem dawania innym poczucia oparcia. Dlatego chcę dziś przypomnieć moje, bardzo osobiste wspomnienie o nim, napisane wtedy, pięć lat temu.

Z perspektywy czasu widzę, jak spotkanie Ireneusza okazało się ważne dla mojego losu. Do dziś pamiętam dzień, w którym rozmawiałam z nim pierwszy raz. Był to w moim życiu czas wewnętrznego znużenia, poczucia utknięcia w miejscu i jakiejś bardzo dotkliwej obawy, że nic ważnego się już nie wydarzy. I wtedy właśnie przyjechałam do biblioteki razem z trojgiem swoich podopiecznych – uczniów świebodzińskiego liceum, by pokazać mu ich młodzieńcze próby literackie. Jak oni zostali wtedy przyjęci! Ile słów otuchy i docenienia tych skromnych początków ustyszeli od Mistrza! Ile wiatru dostało się w ich młode skrzydła! Ale nie tylko oni wyszli wtedy stamtąd lejsi i odważniejsi – ja sama także uwierzyłam, że może coś jeszcze przede mną. Nie wszyscy zostali przy pisaniu, ale to właśnie wtedy coś na dobre poruszyło się we mnie. Później Irek wraz z Krysią Kamińską zgodzili się objąć patronatem i dodać prestiżu konkursowi poetyckiemu, który zorganizowałam w Świebodzinie.

Taki właśnie był Irek. Dodawał skrzydeł – i młodym, i starym. Nawet grafomanów traktował z serdecznym dystansem do ich niedoskonałości. Potrafił patrzeć na ludzi z ciepłem i humorem. Dlatego Ignęli do niego piszący i rozkochani w czytaniu i ta gorzowska rodzina trwała i trwa do dziś – serdeczna, związana nie tylko literaturą, ale też czymś prawdziwie ludzkim.

Nigdy nie widziałam Irka smutnego. Jego twarz była zawsze pełna słońca. I tym wewnętrznym słońcem zarażał wszystkich dookoła. Może właśnie dlatego spotkanie z nim tak wiele we mnie poruszyło – przyszło w czasie, gdy sama tkwiłam w cieniu. Otworzyło we mnie coś nowego – nie tylko w pisaniu, ale też we mnie samej i zmieniło więcej, niż wtedy potrafiłam zrozumieć. Irek dał mi odwagę, by pisać o literaturze. To u niego zaczęłam publikować swoje teksty krytycznoliterackie – tutaj wszystko się zaczęło, to dzięki niemu stałam się częścią „Pegaza Lubuskiego”. To Irek wprowadził mnie do gorzowskiej „pegazowej” wspólnoty. Z czasem pozwoliło mi to poznać wielu nietuzinkowych ludzi ze świata literatury, także spoza Gorzowa.

Nic nowego nie odkryję, gdy powiem, że miał przy tym ogromną klasę i naturalność. Był bezpośredni i zupełnie pozbawiony potrzeby podkreślania swojej pozycji czy przewagi. Miałam wrażenie, że to ktoś bliski, ktoś z rodziny, a nie człowiek-instytucja. A przecież był prawdziwą literacką instytucją. Rzadko spotyka się ludzi o takiej charyzmie i przystępności jednocześnie.

Tak, to dzięki niemu odważyłam się na rzeczy, na które wcześniej bym się nie porwała. Zaczęłam się rozwijać – jako człowiek, ale także jako humanistka. Po tym spotkaniu nastąpiły ważne zmiany w moim życiu. Irek przybliżył mnie też do ludzi, co do których wtedy nie mogłam jeszcze wiedzieć, jak bardzo staną mi się bliscy. Nie był kimś z piedestału, odrealnionym Mistrzem, tylko człowiekiem prawdziwie obecnym dla innych.

Irku, jakie to straszne, że stamtąd się już nie wraca.

IRKOWI

Ferdynand Głodzik

Nadszedł twój jubileusz, szanowny prezesie.
Twoje święto od dawna sen mi z powiek spędza;
jak nie chwalić, nie sądzić, lecz i nie oszczędzać?

Pośród kwiatów, toastów, przemówień i gości,
zawsze znajdują się tacy, co będą zazdrościć,
nie przekonasz nikogo, kto cię nie docenia,
rypateś prosto z mostu i spoza milczenia.

W teatralnym konkursie z epoki minionej
opisateś Lenina bez farby czerwonej,
zachowateś rozwagę w dziejowym zakręcie,
jakim cudem? Przechodzi to ludzkie pojęcie!

Jesteś tęgim poetą, co mnie w zachwyt wprawia,
pewnie to dlatego, że co dzień się poprawiasz.
Ty w porywach natchnienia, gdy pióro poniosło,
uprawiałeś zuchwale swe grzeszne rzemiosło.

Wlokę się w ślad za tobą w poetycki spacer,
nie bywałeś mi muzą, byłeś podżegaczem,
zachęcałeś, bym muzie satyry był wierny,
przy tobie stawałem się fredny i przechorny.

Nie mam prawa cię sądzić i nie myślę ganić,
za to, że przy tobie tak rozchuliganiał,
żadna to prowokacja, pokusa ni zdrada,
ja się z tego przed sobą jakoś wypowiadam.

Za twą pracę dziś wznoszą kolejne toasty,
stół okrągły, co bywał owalny, kanciasty;
szukasz młodych talentów, promujesz i chwalisz,
nowych trzeba, bo dawni już poumierali.

Już niejeden twój uczeń pierwszy tomik wydał,
potem z niego się cieszył, jak nagi w pokrzywach,
niech się młodzi zbyt łatwym sukcesem nie łudzą,
zatem trzymaj ich krótko, ale za to długo!

Wiersz czytany na spotkaniu poświęconemu Ireneuszowi Krzysztofowi Szmidtowi, które odbyło się 18 maja w Książnicy Herberta

ŁUCJA MARCZYK-RAJCHEL, z domu TANONA 1935-2026

STARA KOBIETA DOSTAJE PIERŚCIEŃ OD SVOJEJ POPZREDNICZKI

Beata Patrycja Klary-Stachowiak

Pierścień z metalu i szkła. Noszony na palcu krążył wraz z krwią, wstuchany w puls, który był wieczny, bo trwał wystarczająco długo. Kobieta nadała mu znaczenie, ale mądry klejnot wiedział, że jest tylko gościem.

Szko pamięta ogień. Pamięta rozdzielenie, stopienie, formę narzuconą przez cudze oddechy. Dlatego nie tuzdi się trwałością. Gdy nastaje chwila odejścia, pierścień jest pierwszy. Spada na dłoń kogoś innego.

Stara kobieta daje go swojej następczyni. Chłodny i obojętny, a jednak nasycony historią idzie w nowe ręce. Samotny palec staje się lżejszy, jakby od dawna ćwiczył brak i uczył się, że nic nie należy do niego.

Powtórka także jest pierścieniem. Materią, która była liściem, pyłem, wodą, piaskiem. Nosimy ciało, aż przestaje pasować do drogi, którą trzeba iść dalej. Wtedy zostaje zdjęte bez pośpiechu, z czułością i wiarą.

Młodsza kobieta wie, że to, co patrzy w ciebie, idzie dalej niczym światło. Rozprasza się i łączy. Łączy się i znów rozprasza. Tak od początku do początku, z zagadki w zagadkę. Nic nie ginie, zmienia się tylko mistyczny okrąg.

ŁUCJA MARCZYK-RAJCHEL: jedna z założycielek Gorzowskiego Oddziału Związku Sybiraków. W latach 1940-1946 wraz z matką i siostrą była na zesłaniu w Kazachstanie. Działaczka społeczna. Członkini Związku Literatów Polskich. Z Gorzowem związana od 1953 roku. Zawodowo związana m.in. ze Stacją Sanitarno-Epidemiologiczną w Gorzowie, Wojewódzkim Szpitalem Zespolonym i Wojewódzką Stacją Pogotowia Ratunkowego.

Autorka kilku książek, m.in. *Śladami wspomnień. Od Kazachstanu po Gorzów Wlkp.* (2007), *Co cię nie zabije...* (2014), *...To cię wzmocni* (2016) i *...jeśli dożyję* (2019).

BEATA PATRYCJA KLARY-STACHOWIAK: poetka, krytyczka literacka, animatorka kultury. Autorka kilkunastu tomików poetyckich, m.in. *Szczekanie głodnych psów*, *De-Klaracje*, *Misterium Solitera*, *Martwia*, *Lęgnia* oraz książki kulinarno-poetyckiej *Wege nad Wartą*. Stypendystka Stowarzyszenia ZAiKS, Fundacji im. W. Szymanowskiej, Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zdobywczyni Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa – MOTYLA. Laureatka wielu konkursów literackich, w tym dwukrotnie Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

DOBRE (NIE)ZNAJOME

Łucja Fice

Pojawiają się w życiu chwile, w których człowiek czerpie odwagę nie wiadomo skąd. Nie planowałam ich, nie dojrzewały w mojej głowie, po prostu pojawiły się nagle, jak błysk światła w źrenicy i zanim zdążyłam je ocenić, już w nich uczestniczyłam.

Tak było w roku 2019 podczas Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie. Ostatni dzień, lekko rozedrgany od pożegnań, rozmów, zmęczenia i emocji. W auli Domu Polonii na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie odbywała się uroczystość wręczenia nagród – elegancka i podniosła. Później nastąpiła część nieoficjalna. Wśród gości była Ona – pani Magda Zawadzka, aktorka. Klasa sama w sobie. Kobieta, która nie musi nic mówić, żeby opowiedzieć historię.

W kularach zdarzają się momenty, które później pamiętamy przez całe życie. Przypominamy sobie wówczas, że wszyscy jesteśmy tylko prostymi, zwyczajnymi ludźmi. Wtedy, uzbrojona w uśmiech oraz zupełnie nieuzasadnione poczucie zażyłości, podeszłam do pani Magdy...

– Tylko dwie minutki... Łucja jestem...

Powiedziałam to tonem, który, jak się za moment okazało, mógł sugerować, że wspólna znajomość jest faktem oczywistym, choć niestety zapomnianym. Pani Magda spojrzała na mnie uważnie. Uśmiechnęła się i objęła mnie ramionami. Gest, którym witają się starzy znajomi. Wtedy wydarzyło się coś, co do dziś uważam za majstersztyk. Śmieszny i poważny zarazem. To wtedy doświadczyłam na żywo kunsztu eleganckiej gry aktorskiej pani Magdy:

– Boże... Łucjo! Tyle lat! Pogubiłyśmy się gdzieś po świecie. Jak leci? Co u ciebie?

W tej jednej chwili zostałam kimś. Nie kimkolwiek, ale kimś z przeszłością. Kimś ze wspomnieniami, których sam nie pamięta. Zamiast prostować rzeczywistość, po prostu w nią weszłam.

– Jak mam się dobrze, to zabiera mnie policja, a jak źle, to pogotowie – zaczęłam się śmiać naprawdę szczerze.

– Nic się, kochana, nie zmieniaś, te same głupotki w głowie.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, stojąc na granicy dwóch światów, czyli tego prawdziwego, i tego, który właśnie powstał między nami.

Później stanęliśmy do zdjęcia, a potem ktoś podszedł. Ktoś ważniejszy... Delikatnie, ale stanowczo odebrał mi panią Magdę, jakby wciągał ją z powrotem do rzeczywistości z mojego małego improwizowanego, trochę śmiesznego świata. Zostałam sama z uśmiechem, ze zdjęciem i z nową, krótką, ale jakże intensywną tożsamością.

SPRZEDAJNA

Halinka Bohuta-Stąpel

Pierwszy raz chciała sprzedać Ojca, gdy miała ledwie kilka lat, ale chyba nie więcej niż pięć, bo wtedy jeszcze nie umiała pisać, więc wciągnęła w spisek Matkę.

Matce jeszcze drżą ręce, drży papieros w szklanej lufce, Matka jest zła jak osa, bo wczoraj znów przyszedł na rauszu. Nie zdarza mu się to zbyt często, ale jeśli już, to Matka jest wściekła i Mała schodzi jej z drogi. Ojciec, gdy jest w takim stanie, nigdy się nie awanturuje, tylko szybko idzie spać, a rano, kiedy Matka i Mała jeszcze śpią, zlewa się dobrą wodą kolońską i pędzi do pracy.

Ale Mała ma zawsze z tym problem; teraz też, bo Matka po śniadaniu owija się kłębamii dymu z Klubowych i pyta Małą całkiem serio:

– No i co ja mam z nim zrobić, no co, powiedz!

Mała pojmuję, że to ona ma rozwiązać ten problem.

– Tatę trzeba sprzedać – oświadcza.

Matka krztusi się dymem, a Mała przynosi kartkę i kopiowy ołówek:

– Pisz, powiesimy to w Komisie.

Wystawa sklepu Komis z dobrami luksusowymi zawsze przykuwała jej uwagę, jest o wiele bardziej kolorowa niż sklepów pod szyldem Spotem, tyle tam różności, choć używanych.

Matka podejmuje grę, w kącikach ust pociągniętych szminką Celii błąka się złośliwy uśmieшек.

– No, to co mam pisać?

– Napisz tak: „Używanego tatusia sprzedam w dobre ręce”, i już.

– Jak piszemy „w dobre ręce”, to chyba trzeba oddać, nie sprzedać...

– Nie, trzeba sprzedać, bo przecież ty nie pracujesz, musimy mieć pieniądze.

Matka czuje się, jakby ktoś dał jej „z liścia”, ale tylko głębiej zaciąga się dymem, po czym odkłada papierosa na brzeg kryształowej popielniczki i zapisuje dyktowaną treść. Sprzedaż opiewa na taką kwotę, która wystarczyłaby im na wiele lat godnego życia. Gdyby nie było dewaluacji. Ale Mała nie zna jeszcze tego pojęcia. Oddycha z ulgą – poradziła sobie, Matka już nie jest zła, uśmieшек nie schodzi z jej ust, siada przy stole i bierze się za poprawianie lakieru na paznokciach. Czerwonego lakieru, błyszczącego, idealnie dopasowanego do koloru szminki.

Mała nie lubi ojca na rauszu. Nie lubi, gdy daszek oficerskiej czapki przesunięty jest zawadiacko prawie na czubek głowy, a kroki Ojca są chwiejne. Jest jej wstyd, wołałaby, aby w takim stanie miał na sobie berecik i kufajkę, jak ci panowie, którzy stoją na śmieciarce. Ich stan „wskazujący na” nie razi Małę, która czuje, że do munduru to nie pasuje.

Ojciec, jak gdyby nigdy nic, punktualnie po pracy przychodzi na obiad. Zazwyczaj wtedy bywają ciche dni albo przynajmniej ciche godziny, ale nie tym razem. Po zupie Matka podsuwa mu kartkę z ogłoszeniem i rzuca zaczepnie:

– Widzisz, do czego doprowadziłeś?

Ojciec chowa wzrok jak szkodny kot. Tak nazywa go Matka, gdy na drugi dzień po libacjach skrada się na paluszkach, by jej nie drażnić. Ale kartkę czyta, wdycha, zjada kotlet z buraczkami i idzie spać.

Jest trzeźwy, Małej robi się trochę głupio. Ale Matka idzie za ciosem.

– No, to tata już wie. Szykujmy jego galowy mundur, ten ze sznurem, a jak przypniemy wszystkie medale, to na pewno ktoś go kupi.

Mała już widzi Ojca na komisowej wystawie, w galowym mundurze – spodnie na kant, czapka jak należy, no i ten sznur ozdobny, te medale...

Wybucho płaczem:

– A jak on taki tądny, to go jeszcze ktoś naprawdę kupi!

I ten wybuch płaczu kończy sprawę pierwszej sprzedaży Ojca, kartka z anonsem zapisanym kopiowym ołówkiem ląduje w koszu na śmieci.

Po ponad sześćdziesięciu latach sprawa sprzedaży Ojca powraca, ale ma całkiem nowy początek i odwrotny wymiar finansowy. Matki już nie ma, a Mała nie jest już mała, lecz Stara i na jej barkach spoczywa konieczność przeprowadzenia transakcji typu „Oddam Ojca w dobre ręce”. Ale nikt go nie chce wziąć w całości, więc opyla go po kawałku: pani od sprzątanego za kilkadziesiąt złotych tygodniowo, opiekunka od przewijania za kilka tysięcy miesięcznie, student od wywożenia wózkiem na spacer...

Ojciec sprzedawany jest w dobre ręce.

HALINKA BOHUTA-STĄPEL: Urodziła się w Poznaniu, ale od ponad 40 lat mieszka na Ziemi Lubuskiej (Zielona Góra / Wilkanowo). Debiutowała w latach 70. XX w. we Wrocławiu na łamach prasy miejskiej i studenckiej. Jest autorką kilku tomików zawierających lirykę osobistą, kilku scenariuszy teatralnych i jednego filmowego, legend lubuskich, piosenek kabaretowych (płyta „Kameralnie, Funeralnie”, 2017, tekst + muzyka), w roku 2024 wydała zbiór humoresek *Bar Pod Błękitnym Aniołem* (proza + limeriki/altruistki/skeczki), współpracując z Zielonogórskim Ośrodkiem Kultury, prowadzi i pisze scenariusze oraz muzykę do cyklu imprez kabaretowo-historycznych „Herbatka u hrabiostwa von Stosch”, tłumaczy z języka niemieckiego wiersze zielonogórskich poetów (m.in. Ottona Juliusa Bierbauma), współtworzy Literacki Kabaret HALLO, należy do Związku Literatów Polskich o. Zielona Góra, aktualnie sprawuje funkcję wiceprezesa.

FURTEK NIGDY DOŚĆ

Roman Habdas

Nie zliczę otwieranych i zamykanych przeze mnie furtek. Jedyna, którą sam wykonałem, prowadzi z podwórza moich znajomych do ogrodu. Kiedy odwiedzam ulubiony zakątek, opatruję ją wzrokiem. Dotykam drewnianych elementów, sprawdzam zawiasy i zamek, i dopiero wtedy przenikam granicę. Za nią kilka zagonków i niewyszukanych kwiatnych rabat. Pod nogami trawa, która rośnie według własnego widzimisię.

Tomik *Furtki. Wiersze do autoryzacji* autorstwa Katarzyny Krysińskiej, który trafił do mnie przed oficjalną premierą, znalazł miejsce na parapecie i czekał na swoisty wiosenny klimat. Kiedy wreszcie zakiełkowałem potrzebą głębszego wejścia za furtę okładki i każdą kolejną ze stron, stałem się dla domowników nieobecny. Wodziłem głodnymi oczami z wersu na wers. Na miejskie chodniki, na spacerowe alejki, na trawniki – wypatrując koniczyny, w której *słowa tańczą boso*. Autorka, żyjąca własnymi troskami, subtelnie ukazuje codzienne przystanki, łącznie z akcentami bliskości z Panem Bogiem, z wartościami pro-life. Przekonuje mnie wymuskanym kwietnikiem łagodnych, dobranych fraz. Swoją wykładnią codzienności, w której słowa rozgałęziają się – jak w zapisie ze strony dziesiątej:

(...) *wyszumiata się cisza*
zdania proste złożone
nurkują w zieloność
zobacz jak rozgałęziają się słowa
znowu drzewo
śni się rozmowa (...)

Jestem starzejącym się mężczyzną, ale z dość dobrą pamięcią. Z wpisanymi w nią scenami wychowywania czwórki biologicznych dzieci, a później „przytulonej” dziewczynki. Z całym tym rodzinnym swoistym teatrum. I nie ukrywam, wzrusza mnie taka zwyczajność, liryczny obrazek spacerującej matki z córeczką w łupince wózka, z ukrytymi w dłoni pąkami rozkwitającego różańca. Obrazek matki z wózkiem i dzieckiem, z chwilą dla modlitwy, kiedy teraźniejszość częściej i częściej spaceruje z wózkami, w których... psie mordki.

Katarzyna Krysińska – *żona i mama na pełen etat* (jak informuje notka z okładki tomiku), ale również doktor literaturoznawstwa. Pomiędzy debatami własnych myśli w głowie, stawianiem małych kroków, ustępowaniem miejsca, uprawia wysublimowaną grządkę poezji i wcale nie buja w obłokach. Nietatwa dla autorki powszedniość wymusza organizację dnia. W wierszu *dopiero* wyznaje:

Teraz
 uczę się
 wykorzystywać czas
 czytać książki jak listy
 zaznaczać w nich swój świat
 teraz
 widzę
 że drzewo potrzebuje korzeni
 a dom ziemi
 że zaczynam się wcześniej
 teraz staram się
 oddychać wolniej
 nie patrzeć w dal
 stawiać małe kroki
 czasem zawracać (...)

Książeczka zawiera trzydzieści siedem wierszy ogarniętych pogodą ducha. W oferowanej liryce dotykamy spacerów i wypraw, bodaj po zeszyt w linie dla syna. Rejestrujemy trud wsiadania z wózkiem do autobusu i ukojenie, pomniejszenie lęku przez obecność drugiej matki z większym wózkiem. Na stronach tomiku jest pełnia życia i... *selfie z wenflonem*, są *po dwie wersje / każdego dnia*. I wiele mówiący ostatni wers z wiersza *domki dla lalek: choć Niebo to nie zabawa*. Wiersze przytulałem z uwagą od pierwszej po ostatnią furtkę i wszystkie pozostawiłem niedomknięte. Tomik, jak wcześniej, odłożyłem na parapet. Leży w nasłonecznionym miejscu. Jest blisko rąk i oczu. Niech zachęca, uchyla kartki, kwitnie. Wiem, że nie uschnie, bo wyrastał na mądrości syconej prostotą życia, której nigdy dość.

ROMAN HABDAS: poeta, pisarz. Członek ZLP. Wydał książki poezyckie *W ramionach Drawy* (1995), *Żucie szczawiu* (2007), *Z gliny ulepieni* (2009), *Stacje Drogi Krzyżowej* (2021), *Odrobina* (2024) i *Dorzecznie* (2025). Ukazały się też powieści i zbiory opowiadań: *Mały Paryż* (2015), *Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie* (2017) oraz *Żgajoki i inne opowiadania* (2019). Jest wielkim miłośnikiem przyrody i wędkowania.

WNĘTRZE ŚWIATŁA I RYTM MYŚLI

Tomasz Walczak



Tomik Edyty Plucińskiej *Dialog wewnętrzny* stanowi próbę pełnego zanurzenia w procesie twórczym, introspekcji oraz w duchowym postrzeganiu świata. Jej utwory balansują na granicy poezji medytacyjnej i egzystencjalnej, autorka operuje językiem jednocześnie osobistym i uniwersalnym. Już w pierwszych wierszach podkreśla fascynację samym aktem kreacji: *tworzy dzieła jak rzeźbiarz / składa słowa jak poeta / maluje barwami jak artysta / z potrzeby wypytywa / w miłości kietkuje / na dbałości wzrasta*. Fragment ten odświeża myślenie o twórczości jako formie samoświadomości i afirmacji istnienia, co zbliża Plucińską do poetów medytacyjnych – od Czesława Miłosza z okresu *Hymnów* po refleksyjną lirykę Wistawy Szymborskiej.

Dialog wewnętrzny układa się w konsekwentną medytację nad życiem, emocjami i duchową ewolucją jednostki. Autorka koncentruje się na doświadczeniu tu i teraz, na świadomym przeżywaniu codzienności i natury. Język jej wierszy bywa ekspresyjny, chwilami niemal rytualny, a zarazem oszczędny, wyrastający z uważnego namysłu nad własną wrażliwością. Motorem napędowym tomu pozostaje proces dojrzewania świadomości, w którym ciało, emocje i relacje stają się zarówno obszarem doświadczenia, jak i źródłem filozoficznej refleksji.

Plucińska posługuje się fragmentaryczną, miejscami prozatorską poetyką. Krótkie wersy, powracające motywy i anafory (*już / jestem, wyjdź z roli... / ewolucja jest tym co nieuniknione*) budują wewnętrzną rytmikę bliską mantrze. W wierszu *ten który sieje / jest ojcem i matką / intencji ziaren...* czy w powtarzalnym ciągu: *ewolucja jest tym co nieuniknione / gdy świadomie wybierasz to... / gdy jesteś w stanie wytać emocje* struktura wersyfikacyjna wspiera sens wypowiedzi. Autorka rezygnuje z interpunkcji, pozwalając myśli płynąć swobodnie, co zbliża jej poetykę do intuicyjnej linii wiersza znanej z twórczości Haliny Poświatowskiej czy Urszuli Koziół.

Szczególną uwagę zwraca poetycka eksploracja momentu przelotu, uchwycona w obrazach takich jak: *pękam jak ziarno / wydobywam pierwsze myśli / w delikatnym tańcu chwili / unoszę się / i czerpię z korzeni*. Gest pęknięcia i narodzin intuicji wyprowadza Plucińską ku poezji metaforycznego dojrzwiania, w której ciało i świadomość wzajemnie się przenikają.

Jednym z najważniejszych tekstów tomu pozostaje mantryczny wiersz rozpoczynający się od frazy *ewolucja jest tym co nieuniknione*. To swoisty manifest wewnętrznej przemiany, w którym powtarzalność pełni funkcję rytmicznej medytacji: *ewolucja jest tym co nieuniknione / gdy zdecydujesz że Twoja wolność / jest ważniejsza niż Twoje schematy / i z odwagą odkleisz się od starego / by zrobić miejsce na nowe*.

Paralelizm składni i powracający leitmotiv imitują proces stopniowej transformacji, przywołując na myśl duchową tradycję Rilkego, dla którego rytm i powtórzenie były narzędziem badania istnienia.

W innym wariacie tej samej myśli afirmacyjny ton zostaje wzmocniony: *ewolucja jest tym co nieuniknione / gdy świadomie wybierasz to / co stanowi wartość dla Ciebie*. To poezja budująca równowagę między duchowością a psychologiczną samoświadomością, tworząca własny rytuał słowa i myśli.

W części utworów Plucińska sięga po język bardziej zmysłowy i synestezyjny. W wierszu *poruszam sfery / zmysłami przeszukując* pojawia się napięcie między cielesnością a duchowym doznaniem: *unoszi mnie podłoga / korytarza chwili / nie widzę świata / jest poza ramionami / wtapiam się ze wstydem*. Jak w najlepszej liryce Anny Świrszczyńskiej, ciało nie jest tu ornamentem, lecz fundamentem poznania i emocji.

Tomik spaja motyw podróży ku sobie – psychicznej, duchowej i cielesnej. Plucińska stawia pytania o autentyczność, wolność i przemianę, posługując się prostym, lecz precyzyjnym językiem. Jej wiersze, choć zróżnicowane formalnie, pozostają stylistycznie spójne; każdy wers wynika z rytmu myśli, a nie z formalnego rygoru.

Niektóre fragmenty ulegają jednak nadmiernej rozbudowie, jak w wersach: *nie mam gwarancji / na wspólne / bo razem to tylko stan bez obietnicy...* Ich semantyczna ekspansja rozluźnia rytm i wymaga od czytelnika większej koncentracji. Jest to jednak zabieg świadomy, wpisany w poetykę medytacji, w której powtarzalność służy pogłębianiu myśli, a nie jej uproszczeniu.

Dialog wewnętrzny można odczytać jako istotny głos współczesnej poezji introspekcyjnej, w której doświadczenie jednostki staje się punktem wyjścia do refleksji nad kondycją człowieka. Autorka balansuje między ciszą medytacji a intensywnością zmysłów, tworząc świat, w którym umysł, ciało i duch nieustannie się przenikają. To poezja wymagająca skupienia, lecz odwiedzająca się pogłębionym doświadczeniem lekturowym, w którym niewidzialne staje się odczuwalne.

Tomik *Dialog wewnętrzny* ukazał się w 2025 roku jako 109. pozycja serii Biblioteka Pegaza Lubuskiego, wydawanej przez Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wielkopolskim. To cykl publikujący książki literackie – przede wszystkim poezję i prozę – autorów związanych z regionem lubuskim oraz środowiskiem ZLP. Stanowi on efekt benedyktyńskiej pracy zapoczątkowanej przez Krzysztofa Ireneusza Szmidta, jedną z kluczowych postaci w promowaniu lokalnej literatury, a kontynuowanej przez Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk.

Edyta Plucińska, *Dialog wewnętrzny*; Gorzów Wielkopolski, 2025

TOMASZ WALCZAK: poeta, pedagog teatru, animator kultury. Absolwent Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Przez kilkanaście lat zawodowo związany z Teatrem im. Aleksandra Sewruka w Elblągu. Debiutował w antologii *I znów będziemy poetami* (1993). Wydał tomiki *Blizny* (2006), *Drzazgi w myśli* (2010) i *Fantasmagorie* (2014).

Był inicjatorem Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Eryka Pietruska. Powołał do życia Drezdenecką Scenę Literacką oraz Festiwal Literackiego Słowa na Puszczy. Zainicjował działalność Grupy Literacko-Artystycznej Lubdrzeń. Był jednym z pomysłodawców i współredaktorem Ścieżką obok drogi — Antologia poezji twórców drezdeneckich (1996), a także antologii *Z ograniczoną nieodpowiedzialnością* Alternatywnego Elbląskiego Klubu Literackiego (2014). Nagrodzony medalem Zasłużony dla kultury polskiej oraz Nagrodą Prezydenta Elbląga Kreator Kultury.



ŚMIESZNOŚKI

Róża Popławska

Parzyste ideały

Cokolwiek wziąć, zerwać czy kupić – tylko podwójnie. Mydła nabiera dwie krople. Buty szczotkuje czterokrotnie. Liczy kroki tak, aby była ich parzysta liczba – jest w niej coś doskonałego i zadziwiającego, zatem dlaczego nie dążyć do takich ideałów? Przy zakupach walka o idee jest znacznie utrudniona i kosztowna, czasem wystarczyłoby czegoś jedna sztuka (na przykład stołu do kuchni czy czapki na głowę). Ale kto powiedział, że doskonałość będzie prosta? On poświęca się codziennie. Budzi się z drugim budzikiem, który wyłącza dwa razy. Wstaje z łóżka – złaczonych dwóch pojedynczych, by włożyć parę kapci i ściągnąć podwójną piżamę. Wiele osób nazwałoby go wariatem; on mówi o sobie: „wierny”, „postępowy”, „idealista”. Od rodziców się odciął, niestety mamę i tatę miał pojedynczych, a wojownik nie baczy na sentymenty oraz więzi. Cele stawia ponad nimi. Na szczęście z siostrami może utrzymywać kontakt, bo ma dwie – tylko one nie są do tego zbyt chętne. Małżeństwa nie planuje. Jedna żona oczywiście odpada, a poligamia go nie zachęca. Czy będzie do końca życia sam?

Wtem zdaje sobie sprawę, że przecież on jest jeden. Ręce zaczynają się trząść, oddech przyspiesza, na twarzy pojawiają się rumieńce. Gorączkowo zaczął myśleć nad rozwiązaniem, ale zamiast tego w głowie pojawiały się coraz gorsze myśli: mam jedną głowę, jeden mózg, jedno serce, jedno usta, jeden nos, jeden brzuch, jedno czoło...

Tego było za dużo. Zaczyna liczyć włosy, bo ma ich dużo, ale czy parzystą liczbę? Czy parzystą liczbę?! Z nerwów wyrywa je i robi coś, co nie udało mu się jeszcze nigdy. Wypowiada jedno, samotne, pojedyncze słowo:

– NIE!!!

Koszty przyjaźni

Wylała wodę i nie zamierzała jej sprzątać. Rozlała pełną szklankę wody na podłogę. Nie zrobiła tego celowo. Chwilę rozważała, czy ją zetrzeć, ale zrezygnowała. Dlaczego? Odpowiedzi nie zdradzała nikomu. Od tego czasu omijała kałużę szerokim łukiem. Chodziła po kuchni dookoła, nie chcąc zmoczyć skarpetek. Nie wstydziła się tej mokrej plamy, która mimo upływu czasu nie zniknęła ani nawet nie malała. Gdy przychodzili goście, grzecznie ich ostrzegała, zupełnie bez wstydu. Skonsternowani znajomi zwyczajnie przytakiwali, nigdy nie dopytując. I tak żyła, gimnastykując się w mieszkaniu, w którym zamieszkała nowa współlokatorka – kałuża wody na pół kuchni. Rościła sobie prawo do większości podłogi. Nie była przyjemna w obyciu – mokra, brudząca i rozprzestrzeniająca się po

każdym dotknięciu. Obydwie siebie unikały. Nie chciały rozmawiać, bo o czym? Oprócz mieszkania nic ich nie łączyło. Z czasem plama zaczęła zaznaczać swoją dominującą pozycję. Powierzchni blatu czy szafek, do których dziewczyna dosięgała, było coraz mniej. Powoli przestawała korzystać z tego pomieszczenia. Rzadziej wchodziła do kuchni, nie chcąc natknąć się na wroga współlokatorkę, która tylko czekała, aby w nią wdepnąć. Kiedyś wytarcie cieczy było opcją, teraz nawet o tym nie myślała. Odkąd woda stała się mieszkanką kuchni, przestała być zwykłą kałużą wymagającą posprzątania.

Dziewczyna smutniała, bo pamiętała o jednym – wody nie wytarła, bo czuła się samotna i chciała, by ktoś z nią dzielił jej cztery kąty. Teraz czuła się zmęczona obecnością współlokatorki i tęskno jej było do samotnych czasów.

Muzyczne sąsiedztwo

Mam sąsiada i podejrzewam, że gra w orkiestrze. Tak wnioskuję po licznych próbach. Jeszcze nie rozgryzłam, na czym gra. Puzon? Trąbka? Tuba? Zdecydowanie jakiś niezwykle donośny instrument dęty. Jestem obyta z muzyką, chadzam do filharmonii i często coś podśpiewuję pod nosem. Próby kogoś należącego do orkiestry zupełnie by mi nie przeszkadzały. Nawet bym się z nich cieszyła, przecież to darmowy koncert. Problem tylko w tym, że odbywają się każdej nocy. Nawet Od paru tygodni toczę jednostronną walkę z sąsiadem o to, kto pierwszy – w moim przypadku zaśnie, w jego zacznie grać. Bywa różnie. Godziny prób nie powtarzają się. Próbowалам stworzyć ich hipotetyczny harmonogram, ale przecież artysta gra, gdy przyjdzie wena. Jest zupełnie nie do przewidzenia.

Wczorajszej nocy straciłam cierpliwość. Być może przestaję być koneserką sztuki, ale to wydaje mi się przesadą. Obudzono mnie o 3:00 takim dudnieniem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałam. Już wiem, że trąbkę mogę wykluczyć. Sąsiad gra na czymś donośniejszym. Od 3:00 do 5:00 dmuchał w swój instrument niestrudzenie. Na pewno poczuł ogromne natchnienie, ale ja nie mogłam wstać rano do pracy i na dodatek jeszcze kolejny dzień męczyła mnie migrena. Po wewnętrznej walce na temat tego, czy cenię muzykę i jaką wartość ma w moim życiu sztuka, udałam się piętro wyżej, by wyjaśnić sprawę nocnych prób. Chciałam zrobić to delikatnie, by nie wyjść na prostaczkę bez szacunku do kultury. Zapukałam. Otworzyła kobieta, więc zaczęłam od razu mówić: „Dzień dobry. Wczoraj...”. Nie dałam rady dokończyć, sąsiadka mi przerwała:

– Bardzo panią przepraszamy. Mąż ostatnio się stresuje, a to wzmaga chrapanie.

Stały element stroju

Od paru lat niestrudzenie nosił na szyi muszkę. Nie rozstawał się z nią nawet na plaży. Widocznie pasowała mu do kąpielówek. Pewnie nie chciał tracić na elegancji. Zimą muszka chowała się pod kurtką i szalikiem. Stale trwała na swoim

miejscu. Nie ściągał jej także, gdy wychodził biegać. Był człowiekiem schludnym i szykownym. Wszyscy dziwili się, z jaką łatwością przychodzi mu nierozstawianie się z muchą. Nie pytali, by nie wyjść na nierozumiejących elegancji. A chodził w niej cały czas. Do pewnych okazji pasowała bardziej: na mszę do kościoła, na zakończenie roku córki czy komunię, ale były także wydarzenia, gdy wydawała się zbędna: grill ze znajomymi, wypad nad jezioro czy przejażdżka rowerem.

Żona, zmęczona długoletnim komentowaniem stosowności ubioru męża przez przyjaciół i rodzinę, straciła długo pielęgnowaną cierpliwość. W końcu zapytała:

– Dlaczego nie ściągniesz chociaż czasem tej muszki?

Mężowi zaświeciły się oczy:

– Uff, bałem się, że nigdy nie zapytasz, sam się wstydzilem. Nie mogę jej rozpiąć.

RÓŻA POPŁAWSKA: laureatka i finalistka Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Pisuje opowiadania i felietony, które były drukowane na łamach „Angorki”. Uczennica II klasy II LO w Gorzowie Wielkopolskim.



TO BĘDZIE FEST IMPREZA

Beata Patrycja Klary-Stachowiak

We wrześniu po raz kolejny „wskoczmy” w twórczość patrona mijającego roku. Tym razem jest nim Józef Czapski. Hop Czapski Fest 2026 odbędzie się 11 i 12 września w Klubie Kultury Jedyńka i w MCK. W programie m.in.: spotkanie z Jackiem Hugo Baderem, slam poetycki, czytanie performatywne, wycieczka literacka i wykład popularnonaukowy.

Józef Czapski, a właściwie Józef Emeryk Ignacy Antoni Franciszek de Paula Maria hrabia Hutten-Czapski herbu Leliwa, pseudonim Marek Sienny, nie daje się zamknąć w jednym zdaniu ani jednej roli. Był artystą malarzem, który szukał prawdy w kolorze i świetle, pisarzem, który próbował uchwycić sens w słowie, a także żołnierzem – majorem Wojska Polskiego, świadkiem historii, który nie odwracał wzroku. Za walkę w wojnie polsko-bolszewickiej otrzymał order Virtuti Militari. Całkowicie odrzucił swoje arystokratyczne pochodzenie.

Urodzony w Pradze, wykształcony w Petersburgu i Krakowie, zmarł w Paryżu. Jego losy to historia dobra na film. Wyobraźcie sobie bowiem człowieka, który potrafi malować ciszę poranka, a chwilę później zapisywać najciemniejsze doświadczenia XX wieku. Czapski przeszedł przez wojnę, obozy sowieckie (Starobielsk, Pawliczew, Gruzowicz – obóz jeniecki NKWD), był świadkiem tragedii Katynia, a jednak nie utracił wrażliwości. Przeciwnie. Jego sztuka i piśmiennictwo stały się jeszcze bardziej uważne, jakby każde pociągnięcie pędzla i każde zdanie było próbą ocalenia czegoś kruchego, ludzkiego.

Był człowiekiem wysokiego wzrostu, przez co często się garbił. Z natury pogodny, uprzejmy, przemyślny. Ludzie go uwielbiali. Jako głęboko wierzący katolik zmagał się ze swoim homoseksualizmem. Znał biegle polski, francuski, niemiecki, rosyjski, angielski. Był człowiekiem wielokulturowym i swobodnie poruszał się w literaturze i kulturze światowej.

Na płótnach Czapskiego nie znajdziecie dosłowności. Są tam raczej fragmenty świata. Czasem stolik w kawiarni, postać uchwycona w półcień, martwa natura, element budynku, pejzaż, który bardziej się czuje niż ogląda. To malarstwo powolne, skupione, niemal medytacyjne, z kręgu kapistów. Nasycone kolorem, trochę bajkowe, bardzo ludzkie. Czapski malował wszędzie – w domu i podczas wakacyjnych wyjazdów plenerowych. Pokazywał swoje obrazy we Francji, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, Brazylii, Belgii. Jego dzieła znajdują się w prywatnych kolekcjach na całym świecie. Jako malarz i pisarz był wielokrotnie nagradzany.

Z literatury pozostawił listy, dzienniki i eseje, w których spotykają się sztuka, filozofia i codzienność oraz prace krytyczno-artystyczne i recenzje. Przeżycia z pobytu

w ZSRR opisał w książkach: *Wspomnienia starobielskie* i *Na nieludzkiej ziemi*. Po wojnie, w Paryżu współtworzył „Kulturę”, mieszkając do śmierci w Maisons-Laffitte przy Avenue de Poissy 91. W Polsce objęty był całkowitym zakazem publikacji.

Ludzi takich jak on już dziś nie ma. W tym roku, 3 kwietnia minęła 130. rocznica urodzin Józefa Czapskiego. Żył dziewięćdziesiąt sześć lat. Jak podkreślił Adam Zagajewski: *pisząc o Czapskim ma się do czynienia z kimś naprawdę wielkim*¹ i można to rozumieć zarówno dosłownie, jak i metaforycznie. Fenomenowi tego człowieka nie da się ująć w słowach.



Hop Czapski fest2026

11-12 września

Klub Kultury MCK Jedyńka | Chrobrego 9
Miejskie Centrum Kultury | Hawelańska 6a

W PROGRAMIE:

- Jacek Hugo-Bader - spotkanie autorskie
- SLAM Turniej Poetycki z udziałem publiczności
- Wycieczka śladami pomników literatów: Kazimierza Furmana, Bronisławy Wajs-Papuszy, Christy Wolf, Ireny Dowgielewicz
- wernisaż Jerzego Pacha ze Świebodzina
- wykład o patronie festiwalu Józefie Czapskim - profesor AJP dr hab. Przemysław Artur Słowiński
- Romana Szczuraszkowa - spotkanie autorskie
- Performatywne czytanie muzyczne: Łukasz Jakubowski i Izabela Patek

Szczegóły na stronie mckgorzow.pl

PARTNERZY

PATRONAT MEDIALNY

¹ A. Zagajewski, *Najwyższy człowiek świata*, Wydawnictwo a5, Kraków 2023, s. 27.

OSOBOWY GORZÓW–ZIELONA GÓRA

Dariusz Jacek Bednarczyk

Z ziemi lubuskiej do śląskiej*
z dawnej Marchii
ku piastowsko-jagiellońskiej
znad Warty
na azymut winnic wspomaganych światłem
z przytupem mazura.

Jak strzelił osiǳ północ/południe
zerkając w stronę Poznania
na bliż chylīm Autobahnom
zgrzytając i szeleszcząc fonetykǳ
o czasie wjeżdża pociąg
składni Gorzów–Zielona Góra.

*historycznie

DARIUSZ JACEK BEDNARCZYK: urodzony w Jeleniej Górze. Absolwent wydziału prawa i administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Współautor antologii poetyckich i fantastycznych. Publikował m.in. w czasopismach: „Odra”, „Śląsk”, „Fabularie”, „Czas Kultury”, „Poezja dzisiaj”, „Kwartalnik Afront”, „Pegaz Lubuski”, „LandsbergON”.



ĆWICZENIA (Z) FORMY

Helka Cąkała

24 kwietnia 2014, czwartek

Zawsze myślałam, że jeśli człowiek rusza się, ćwiczy, pracuje, biega, chodzi na rajdy, to zachowuje sprawność fizyczną do końca swojego życia. Jest to prawda oczywista i niepodważalna. Te nieporadne starsze panie i niedotężni staruszkowie po prostu się pieszczą, udają, domagają się uwagi albo zwyczajnie przestali dbać o swoją kondycję. Poddali się słodkiemu lenistwu, zaniechali spacerów i wysiłku fizycznego. Może też po chorobie nie wrócili do formy, może nawet rehabilitacja nie pomogła? Nieszczęście i klęska. Mnie to nie spotka – myślałam. Teraz wiem, że to tak nie działa. To jest tak: ruszasz się, a stawy sztywnieją; ćwiczysz, ale coraz nieporadniej; chodzisz na rajdy i nagle zaczynasz odstawać od grupy, dystans wciąż się zwiększa i widzisz, że stajesz się balastem, więc rezygnujesz, chodzisz na spacer, a dystanse wciąż krótsze. Myślisz, że to jednorazowy brak kondycji, ale to nieprawda, po prostu nie dajesz rady. Zwalniasz, jeszcze coś robisz, ale wszystko cię męczy i pojawia się pytanie: a po co? Znużenie, zniechęcenie, apatia. Twoje bieganie jest na siłę, wystarczy truchcik, dreptanie w miejscu. Jeszcze chodzisz, ale nagle odkrywasz, że to nie jest sprężysty marsz, tylko żałosne wleczenie się w rytmie *Dooobry Jeeezuuu...*

Całe życie ćwiczyłam wchodzenie na drugie piętro, nawet po kilka razy dziennie, systematycznie i wytrwale, ani razu nie odpuściłam, słowo honoru, ani razu nie spałam na parterze. Nawet czasem wbiegałam. Kiedyś wbiegałam z lekką zadyszką. Akurat wyszedł sąsiad i widząc, że jestem zdyszana, zapytał:

- Co się stało?
- Schody mi szkodzą.
- To dlaczego pani biegnie?
- Żeby się szybciej skończyły.

Teraz wchodzę wolno, niby zamyślona, na półpiętrze przystaję i z zainteresowaniem oglądam przez okno garaże, podwórko i dalej kontenery na śmieci... Topola stoi na swoim miejscu, obskurna stacyjka też i składnica złomu wdzięczy się kupą żelastwa. Oddech uspokojony, można iść do swoich drzwi.

Przyrządzam sobie miksturę: pęczek pietruszki z todyżkami, dwa (czy to nie za dużo?) ząbki czosnku, twaróg, łyżkę oleju lnianego miksuję z taką ilością przegotowanej wody, żeby się dało zmiksować.

Wypijam z głęboką wiarą, że mikstura przywróci utraconą tężyznę młodości – a że wiara czyni cuda, więc kto wie, może, może...

15 maja 2014, czwartek

Zimna Zośka, tylko czternaście stopni. Taka tylko pociecha, że po Zimnej Zośce czeka słoneczne lato i nareszcie można będzie ponarzekać na upały, a te potrwać dłużej niż do świętej Anki, która przyniesie chłodne wieczory i ranki. Całe dwa dni mam złudzenie, że lato trwa i trwa. Zapomina się o kalendarzu i nieuchronności przemijania. Rozmarzyłam się.

Dziś na porannym spacerze spostrzegłyśmy sarnę. Emi, choć ma oczy bliżej ziemi, pierwsza ją zobaczyła. Może wyczuła? Och, jak się wyrwała! Gdyby nie smycz, pobiegłaby za sarną, nie bacząc, że nie jest wyżłem czy ogarem, a jedynie małym yorkiem, zdolnym upolować co najwyżej mysz. Już kiedyś dała popis niesubordynacji. To było w lesie koło Tuczna. Wyszła sarna, a suczka wyrwała z całej siły, smycz się odpięła i szukaj wiatru w polu. Wróciła chyba po dwóch godzinach w stanie żałosnym. Dowiedziałam się wtedy, że jak pies tak odbiegnie, to nie ma co szukać, tylko czekać aż wróci tam, gdzie się rozstał z opiekunem. Trzeba było kąpać, czesać, ale najpierw dać odpocząć. Głupia, niczego się nie nauczyła, znów wyrwała się do tej siuty jak szalona, a z jakim wyrzutem patrzyła na mnie, że nie pozwałam. A sarna pobiegła i zaraz znikła nam z oczu.

Po obiedzie dzwonię do cioci Zosi. Życzę jej wszystkiego, czego się życzy w dniu imienin, a ciocia melduje, że ma „cukiernicę”. Chyba cukrzycę, ciociu – poprawiam ją. No tak, ale „cukiernica” lepiej brzmi. Ciocia jest dowcipna. Dowcipna i ciekawa. Pyta o Juliusza, wspomina Stefana, pamięta wszystkich członków rodziny i nie wiem, o co zapytać. Wiem za to, że kiedyś będę żałowała, że nie zapytałam o to albo o tamto. To najmłodsza siostra mojej matki i jedyne źródło pamięci rodzinnej.

17 maja 2014, sobota

Już po Zimnej Zośce i temperatura podskoczyła do dziewiętnastu, a nawet dwudziestu stopni. Urodziny Juliusza. Dziś kończy trzydzieści siedem lat. Nie dorobił się ani rodziny, ani willi z basenem, ani czajnika z gwizdkiem. Samochód jednak ma, choć to rzęch chyba ze śmietnika. Pamiętam, jak wiół nas – mnie i Janka – z lotniska w Dublinie do siebie, i jak przerażona wpatrywałam się w dziurę oraz w migającą w tej dziurze nawierzchnię asfaltową. Przejechał jednak tym rzęchem przez całą Irlandię ze wschodu na zachód – do hrabstwa Sligo – bez awarii. Teraz dzwonię do jubilata, chcę złożyć mu życzenia, żeby osiągnął wszystko, czego nie udało mu się osiągnąć do tej pory, zwłaszcza chodzi mi o ten czajnik z gwizdkiem, ale nic z tego, bo właśnie jest w drodze i nie może rozmawiać. Potem dowiaduję się, że był w sklepie, żeby zostawić w nim swoje arcydzieła rękodzielnicze – koszyki

z wikliny, które wypłata nader piękne. Zanim je wniósł, już jeden sprzedał na ulicy. Miał potem telefon od sprzedawczyni. Powiedziała, że już wszystkie sprzedała. Stało się to, zanim dojechał do domu. Nic tylko wypłatać następne, ale Julek się nie spieszy. Wyznaje filozofię minimalizmu.

Na obowiązkowym psim spacerze nie chce mi się przebiec obowiązkowych stu kroków. Obezwładniające lenistwo trudno przełamać. Zmuszam się. Biegnę. Ciężko sapię, odliczam sumiennie sto i ani kroku więcej. A po powrocie kładę się na chwilę.

Niestety, ktoś dzwoni do drzwi. To Wojtek z parteru. – Mama powiedziała, żeby pani przyszła.

– Chora? Co się stało? Sama nie może? – Schodzę na parter i pytam, czy chora. Nie. Czekam, a ona woła:

– Wojtek! Wojtek! – Przywołany przychodzi, staje i milczy. Matka go zachęca:

– No powiedz. Powiedz pani Jance. – Wojtek coś bełkocze, nic nie rozumiem i matka tłumaczy:

– On chce, żebyś pożyczyła sto złotych. – Cyrk, słowo daję. Już bardziej nie można było tego skomplikować.

– Jak to? Przecież już pożyczyłam. Jeszcze? To już będzie dwieście, ja powyżej stówy nie pożyczam nikomu.

Na to Wojtek ni w pięć, ni w dziesięć:

– To dług honorowy.

– Co to znaczy? – dociekam, a matka szybko, że on odda, że ona ręczy.

– Słowo honoru – dodaje Wojtek, a ja:

– Słowo honoru, że nie pożyczę.

Wojtek nie rezygnuje, napiera:

– Nie może pani wyptacić?

– Komu? Komu bym miała wyptacić?

– Nie komu, z bankomatu – prostuje. Bezcelność, myślę.

– To sam wybierz z bankomatu.

– Kiedy ja nic nie mam.

– Ja też nie mam – kłamię i zaraz dodaję – na pożyczanie. Tu matka dodaje swoje:

– On ci odda, ja ręczę.

– Więcej nie mogę, bo sama zastrzegłam w banku limit – jestem zła na siebie, że tak kręcę, kombinuję, zamiast jasno powiedzieć „bo ci nie ufam”, a nawet bez uzasadniania. Nie i już. To moja słabość, nie umiem powiedzieć nie.

KWARTAŁ U HERBERTA

Gabriela Rodak

Varia

Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



16 i 17 lutego zorganizowano warsztaty czerpania papieru dla osób słabowidzących i niewidomych oraz słabosłyszących i głuchych. Uczestnicy poznali tradycyjną technikę czerpania papieru, własnoręcznie formując arkusze i dekorując je płatkami kwiatów i liści. Uczestnicy mogli skorzystać z systemu wspomagającego słyszenie FM, tłumaczenia na Polski Język Migowy i lupy elektronicznej. Wydarzenie zorganizowano w ramach projektu „Projektowanie Uniwersalnej Kultury – Dostępność w Instytucjach Kultury”, finansowanego

ze środków Unii Europejskiej w ramach działania 3.3 „Systemowa Poprawa Dostępności”, Priorytetu III „Dostępność i Usługi dla Osób z Niepełnosprawnościami” Programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego 2021–2027.

Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



18 marca w Willi Hansa Lehmana podczas spotkania „Wożąc Panią Christę” o wspomnieniach związanych z pobytem Christy Wolf w Gorzowie Wielkopolskim opowiedział Janusz Dreczka. Wystąpienie dopełnił odczyt fragmentów prozy Christy Wolf w wykonaniu Sandry Szczudło-Ziemianin. Podniosłym momentem spotkania było przekazanie do zbiorów biblioteki cennych materiałów przez Janusza Dreczkę, wśród których znajdowały się listy, szkice oraz rękopisy wierszy Zbigniewa Herberta.

30 marca uczestnicy warsztatów inspirowanych książką *Szczęścia można się nauczyć* autorstwa Ewy Woydytło słuchali oraz dyskutowali o sposobach budowania dobrych, trwałych relacji z innymi. Spotkanie, prowadzone przez dr Justynę Bucknall-Hotyńską i Annę Bezdziecką, było tłumaczone na Polski Język Migowy. Z kolei 27 kwietnia miała miejsce następna odsłona warsztatów, zorganizowana w oparciu o pozycję *Perfekcjonizm: jak uwolnić się od samokrytyki, zbudować stabilne poczucie własnej wartości i odnaleźć wewnętrzną równowagę* Sharon C. Martin.

10 kwietnia w ramach Międzynarodowego Dnia Romów gościliśmy w Willi Hansa Lehmanna Patrycję i Roksanę Mroczek-Wajs oraz Zorana Dymitraka, którzy opowiedzieli o wędrówkach społeczności romskiej, dialektach ich języka oraz współczesnym życiu Romów w Polsce. W trakcie części artystycznej Roksanę Mroczek-Wajs recytowała wiersze romskie oraz grała na harfie.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

Spotkania autorskie

5 marca w Bibliotece Herberta odbyła się promocja książki Agnieszki Kopaczyńskiej-Moskaluk *Wzór do nienaśladowania. Rzecz o Kazimierzu Furmanie* oraz filmu dokumentalnego Dominiki Muniak *Furman – poezja niepokorna*. Prowadzące wspominały gorzowskiego poetę wraz z wszystkimi obecnymi osobami zaangażowanymi w tworzenie książki i filmu: Krystyną Kamińską, Marią Furman, Januszem Dreczką, Ewą Hornik, Anetą Gizińską-Hwozdyk oraz Markiem Piechockim. Podczas spotkania wyświetlono również promowany film Dominiki Muniak pielęgnujący pamięć o Kazimierzu Furmanie.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

10 marca do Filii nr 6 zaprosiliśmy Tomasza Jocz, dziennikarza, podróżnika, fotografa, autora kanału „Podróże Za Stół” w serwisie YouTube. Gość opowiedział o podróżach do rozmaitych turystycznych destynacji, dzieląc się osobistymi anegdotami, a także niestandardowymi wskazówkami na temat podróżniczych udogodnień.

14 marca gorzowianie spotkali się z Wiesławem Ochmanem, jednym z najśłynniejszych polskich tenorów. W ramach wydarzenia promowano książkę *Artysta życia. Wiesław Ochman – zbiór rozmów z artystą* przeprowadzonych przez Agnieszką Malatyńską-Stankiewicz. Publiczność



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

występowała opowieści o drodze artystycznej śpiewaka operowego oraz jego licznych występach na prestiżowych scenach na całym świecie.

Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



15 kwietnia odbyło się spotkanie z Wojciechem Wolnickim – autorem książek o tematyce kryminalnej, psychologicznej i dystopijnej. Podczas wydarzenia promowano przede wszystkim najnowszą pozycję pt. *Uraz*, autor zaprezentował również inne tytuły z zasobu swojego dorobku. Spotkanie było współorganizowane przez tłumaczkę Polskiego Języka Migowego, panią J. Grochałę.

23 kwietnia w Bibliotece Herberta gościliśmy współautora książki *Przebaczenie* Michaela Snuffera. Rozmowa, poprowadzona przez Agnieszkę Przybył oraz tłumaczona przez Tomasza Terefenko, dotyczyła roli, jaką odgrywa przebaczenie w sferze duchowej i psychologicznej człowieka. Spotkanie było współorganizowane przez Fundację NIDUM Każdy się liczy oraz Kościół Chrześcijan Baptystów w Gorzowie Wielkopolskim.

28 kwietnia w Filii nr 4 spotkaliśmy się z Aleksandrą Bochen, znaną jako Alexandra Claire. Młoda pisarka, tworząca w nurcie new adult, opowiadała między innymi o swojej najnowszej książce pt. *Pokochaj mnie*. Wraz z młodzieżą rozmawiała również o kwestiach blokady twórczej oraz trudności związanych z wydaniem nowej książki.

Pegaz Lubuski

26 marca promowaliśmy pierwszy w tym roku numer czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” (1/104). Wieczór potączono ze spotkaniem autorskim Macieja Hena, który zaprezentował książkę pt. *Tratwa z pomarańczami*. Redaktorka naczelna czasopisma Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk oraz zastępczyni redaktorki naczelnej Beata Igielska przedstawiły zebraną zawartość marcowego wydania, którego tematem przewodnim były „nowe początki”. Drugą część wydarzenia stanowiła promocja książki *Tratwa z pomarańczami* autorstwa Macieja Hena – polskiego pisarza, tłumacza, scenarzysty filmowego, muzyka i aktora. Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk wraz z autorem rozmawiali o wielu wątkach autobiograficznych i wspomnieniach z dzieciństwa występujących w książce, szczególnie skupiając się na żydowskim pochodzeniu pisarza.

Spis treści

OD REDAKCJI

Agnieszka Moskaluk: ŚMIESZNOSTKI	1
--	---

WIERSZ NA OTWARCIE

Zbigniew Witostawski: TWÓRCZE UDRĘKI	2
--	---

TEMAT NUMERU: ŚMIESZNOSTKI

Janina Jurgowiak: NIE CAŁKIEM POWAŻNIE O ŚMIECHU	5
--	---

POEZJA

Maria Borcz: Z CYKLU <i>W RAJSKIM OGRODZIE</i>	7
*** [„samosiejko...”]	7
*** [„temida...”]	7
*** [„uchwały i rozporządzenia...”]	7
*** [„targowisko poglądów...”]	7
*** [„pragniemy...”]	8
*** [„słowa...”]	8
*** [„z żabiej perspektywy...”]	8

ESEJ

Piotr Biegasiewicz: #404 OBJECT NOT FOUND	9
---	---

OPOWIADANIE

Jolanta Bilińska: SCHODY DONIKĄD	16
--	----

SATYRA

Ferdynand Głodzik: DARZ BIUR	21
KUPIŁEM CIĘ	21
ZAUROCZENIE	21

GROTESKA

Maria Jolanta Fraszewska: STARSZA PANI KICHA	22
--	----

FELIETON

Agnieszka Zatylna: OPTYMISTYCZNIE	24
---	----

OPOWIADANIE

Aneta Gizińska-Hwozdyk: O SENSIE DYNDANIA WŚRÓD LUDZI	26
---	----

WIOSENNE WIERSZOWANIE

KIEŁKOWALIŚMY Z IRKIEM	28
Edyta Plucińska: MANIFEST	28
Igor Klityński: MĄDROŚĆ KAMYKA	28
Aneta Długotęcka: NA WIOSNĘ	29
*** [„spod traw korzeni cichy gwar...”]	29
MIEJSKA STOKROTKA	29
*** [„i doprawdy nie wiem...”]	29
Zuzanna Bandera: SPOWIEDŹ	30
Ewa Burakowska: WIOSNA PIERWSZA CÓRKA ROKU	30
Krystyna Dziewiałtowska-Gintowt: DRZEWO I JA	31
Janina Jurgowiak: BOHATERSTWO	31
DĄB	31
Jolanta Karasińska: WIOSNO	32
JA, DĄB	32
Tomasz Korbanek: PIERWSZA	32
BEZDROŻA	32
Marek Piechocki: WYŁAWIAM NIBY RYBY SIECIĄ	33

Agata Senyszyn: *** [„Kiełkuje we mnie...”]	33
Zbigniew Witostawski: SPOD TRAW KORZENI CICHY GWAR / WYŁAWIAM NIBY RYBY SIECIĄ	33
Zbigniew Ziemecki: WIOSNA	34
JA DĄB	34
Aneta Gizińska-Hwozdyk: CZAS STOKROTKI	35
NARODZINY	35
UDRZEWIENIE	36
WSPÓLNE KIEŁKOWANIE	36
OPOWIADANIE	
Hanna Bilińska-Stecyszyn: MORDERCA O TWARZY ANIOŁA	37
POEZJA	
Joanna Ziemińska-Kurek: LEKCJE LOGIKI NA POLONISTYCE	43
ZJAZD ABSOLWENTÓW	43
5. ROCZNICA ŚMIERCI IRENEUSZA KRZYSZTOFA SZMIDTA	
Anna Dominiak: TEN, PO KTÓRYM ZOSTAŁ WIATR W SKRZYDŁACH	44
Ferdynand Głodzik: IRKOWI	45
WSPOMNIENIE	
ŁUCJA MARCZYK-RAJCHEL, z domu TANONA 1935-2026	
Beata Patrycja Klary-Stachowiak: STARA KOBIETA DOSTAJE PIERŚCIEŃ OD SWOJEJ POPRZEDNICZKI	46
FELIETON	
Łucja Fice: DOBRE (NIE)ZNAJOME	47
OPOWIADANIE	
Halinka Bohuta-Stąpel: SPRZEDAJNA	48
RECENZJA	
Roman Habdas: FURTEK NIGDY DOŚĆ	50
Tomasz Walczak: WNEŹTRZE ŚWIATŁA I RYTM MYŚLI	52
MŁODZI PISZĄ	
Róża Popławska: ŚMIESZYSTKI	55
FESTIWAL HOP CZAPSKI 2026	
Beata Patrycja Klary-Stachowiak: TO BĘDZIE FEST IMPREZA	58
WIDZIANE Z POŁUDNIA	
Dariusz Jacek Bednarczyk: OSOBOWY GORZÓW-ZIELONA GÓRA	60
KARTKA Z PAMIĘTNIKA	
Helka Cąkała: ĆWICZENIA (Z) FORMY	61
KWARTAŁ U HERBERTA	
Gabriela Rodak: KWARTAŁ U HERBERTA	64

**Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta**
w Gorzowie Wielkopolskim
ogłasza



2026 r.

OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI im. Jana Grossa

VI EDYCJA

Termin składania prac do
31 sierpnia 2026 r.

Regulamin Konkursu na stronie
www.wimbp.gorzow.pl



Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim

